Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Bibliotek Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 28 XI 1968

Dziś w numerze: Synowie Bałut • Biblioteka może poczekać • Klub czytelników świadomych • Czwarta Marianna • Niezłe miasto • Wiersz • Felietony • Recenzje

odgłosy

48 (578)
1. XII. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

SZTUKA NA CO DZIEŃ

Rozmawiamy z Rektorem PWSSP J.M. prof. Zdzisławem Głowackim

— Panie Rektorze, cieszę się, że mogę tę rozmowę rozpocząć raczej nietypowo, to znaczy gratulacjami z powodu przyznania Panu przez Ministerstwo Kultury i Sztuki nagrody I stopnia za osiągnięcia w pracy dydaktyczno-wychowawczej i organizacji nauczania. Wprawdzie nagroda przyznana jest Panu osobiście, ale przecież w jakimś sensie jest to nagroda również dla uczelni, której rektorem jest Pan od wielu lat. Sukces tym większy, że nie jest chyba łatwo kierować szkołą, wychowującą wszechstronnie wykształconych artystów-plastyków, którzy muszą być jednocześnie projektantami, ściśle powiązanymi z produkcją przemysłową.

— Nie wiem czy to jest łatwe czy trudne, bo taka jest nasza rzeczywistość i inaczej sobie naszej pracy nie wyobrażamy.

— A przecież początki szkoły, przed 23 laty były całkiem inne? Powstała uczelnia z wszystkimi wydziałami akademii sztuk pięknych, wzbogacona o wydział włókienniczy i wydział filmowy, z którego wydzieliła się potem łódzka Wyższa Szkoła Filmowa.

— Tak było rzeczywiście. Wydział włókienniczy, nastawiony od początku na projektowanie przemysłowe, zdominował uczelnię i zadecydował o dalszym jej rozwoju, charakterze. Muszę jednak podkreślić, że jesteśmy w dalszym ciągu uczelnią artystyczną, a nie zawodową. W dziedzinie dydaktyki traktujemy ją jako uczelnię, w której wzorzec włókienniczy nie jest celem lecz skutkiem wychowania. Przy pełnym wykształceniu artystycznym, nasi studenci dzięki zapoznaniu się ze specjalizacją przemysłową, stają się fachowcami — projektantami dla przemysłu lekkiego.

Wydziały wzornictwa przemysłowego istnieją i w innych uczelniach plastycznych kraju, na przykład we Wrocławiu (ceramika, szkło, meble), Krakowie (obudowa maszyn przemysłu ciężkiego) itd. Jednak na innych niż u nas zasadach. Tam projektowanie jest jedną z części programu, u nas zaś problemem generalnym, zasadą, której podlegają wszyscy studenci.

— Jaka jest w tej chwili struktura uczelni?

— W efekcie długotrwałej dyskusji, którą poświęciliśmy temu zagadnieniu, a którą zamknęliśmy w ubiegłym roku,

Dalszy ciąg na str. 5

ROBERT GLUTH

PRACA jak przygoda

Moim kolegom i podwładnym z brygad „Służby Polsce", przyjaciołom ze studenckich brygad żniwnych, wspaniałym dziewczętom i chłopakom z Pomorskiej Płyty Wielkich Opadów, odkrywcom dzikich Bieszczadów — młodości mojej górnej i chmurnej szkic ten poświęcam.

1.

Przemówienia naprawdę wielkich polityków nie są obliczone na wywołanie wzruszeń — służą rozsądkowi, apelują głównie do intelektu mas i jednostek. Był jednak moment, gdy słuchając głosu niesionego na falach Herza, poczułem niekoniecznie „męskie" łaskotanie w gardle i z całego serca ryknąłem „brawo!" — chociaż tego fragmentu nie przerywały oklaski w Sali Kongresowej. To było moje prywatne brawo — ale ręczę, że powtórzyło się w wielu domach, biurach, zakładach pracy czy szkołach. Sprawozdanie KC na V Zjeździe partii przypominało bowiem między wierszami o szlachetnym walorze młodości mojego pokolenia, dobijającego obecnie do czterdziestki. Więcej: uczyniło z niego drogowskaz — ważną dyrektywę dla generacji wchodzącej w mury wyższych uczelni, w zachwyt poznania, urodę lat studenckich, w entuzjazm młodości.

2.

Czym powinna być praca fizyczna dla młodego intelektualisty, nauczyciela, lekarza, inżyniera? Czymś, co wiąże się w świadomości, w sposób nierozerwalny, z trzema rodzajami uczuć: z wdzięcznością, szacunkiem i troską.

Wdzięczność — dla tego ojca i starszego brata, którzy rękami pełnymi odcisków i bruzd od metalu, gorąca,

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Kolejne posiedzenie w Budapeszcie komisji przygotowawczej światowej narady partii komunistycznych i robotniczych, plenarne posiedzenie KC KP Czechosłowacji, kryzys rządowy we Włoszech, ostry kryzys walutowy na Zachodzie oraz zamach stanu w Ghanie — to najważniejsze z międzynarodowych wydarzeń pozjazdowego tygodnia.

4-dniowe posiedzenie komisji przygotowawczej, w którym udział wzięły delegacje 67 partii, uwieńczone zostało ważnymi postanowieniami — ustalono, że narada odbędzie się w maju w Moskwie z porządkiem dziennym: „Zadania walki z imperializmem na obecnym etapie i jedność działania partii komunistycznych i robotniczych i wszystkich sił antyimperialistycznych".

Uzgodniono również na 17 marca termin następnej sesji komisji przygotowawczej, która tym razem odbędzie się w Moskwie. Jako że na tym posiedzeniu mają być rozpatrzone projekty dokumentów na naradę, a także szereg spraw organizacyjnych z nią związanych — z pewnością okres do marca będzie bardzo pracowity. Zamknięty bowiem został kolejny etap prac poprzedzających naradę.

Uchwalono tekst oświadczenia w sprawie wietnamskiej, potępiono zbrodnie dokonane w Indonezji i Grecji oraz przyjęto protest przeciwko terrorowi w Gwatemali, Haiti i Paragwaju.

Komunikat o budapeszteńskim posiedzeniu podkreśla, że obrady toczyły się w atmosferze swobodnej wymiany poglądów i w duchu współpracy partyjnej. Partie wykazały zdecydowaną wolę umacniania jedności i solidarności działania.

4-dniowym obradom w Budapeszcie towarzyszyło szerokie zainteresowanie. W prasie kapitalistycznej — jak zwykle — było ono połączone z nadziejami, że nie uda się osiągnąć zgodności zdań co do terminu i tematyki narady. Raz jeszcze nadzieje te musiały się rozwiać. Na plan pierwszy wysunęły się nie istniejące różnice, lecz dążenie do jedności i właśnie ta tendencja z pewnością będzie się pogłębiać. Potwierdziły się w pełni słowa Uchwały V Zjazdu PZPR:

„Dla opracowania wspólnej strategii walki z imperializmem i praktycznych form współdziałania sił socjalizmu nieporównanie ważniejsze jest to, co łączy wszystkie partie — od tego, co je dziś dzieli".

Opowiadaliśmy się i opowiadamy nadal za otwartą, szczerą dyskusją w międzynarodowym ruchu komunistycznym i robotniczym. Jest to bowiem jedyna droga przezwyciężenia występujących różnic. Posiedzenie budapeszteńskie dało okazję do takiej wymiany poglądów.

* * *

Nie starcza miejsca, aby poświęcić choćby kilka słów komentarza wszystkim wymienionym na wstępie wydarzeniom minionego tygodnia. Dlatego zajmiemy się jeszcze tylko kryzysem walutowym w świecie kapitalistycznym.

Trzeci to w ciągu roku poważny wstrząs. Najpierw zachwiał się funt szterling, potem ledwo uratowano dolara, teraz bohaterami są: francuski frank i zachodnioniemiecka marka. Bohaterowie grają jednak różne role: frankowi grozi obniżenie kursu w stosunku do złota i innych walut, podczas gdy marce — podniesienie. Nie jest to oczywiście dziełem przypadku, ale miernik sytuacji ekonomicznej każdego z tych państw. Jeśli bowiem we Francji chwieje się bilans płatniczy, to w NRF wykazuje on ogromne nadwyżki. Taka dysproporcja nie jest oczywiście pożądana, a jej wyrównanie musi prowadzić do dewaluacji franka i rewaluacji marki. Innymi słowy przeprowadzenie tych operacji spowodowałoby potanienie eksportu Francji, a podrożenie eksportu NRF.

Rzecz zrozumiała, że nowy kryzys nie odnosi się tylko do wymienionych krajów, wstrząsa gospodarką i innych, jest chorobą systemu kapitalistycznego. Natychmiast więc zebrali się w Bonn ministrowie finansów i dyrektorzy banków 10 głównych krajów kapitalistycznych, aby zaradzić niebezpieczeństwu. Powzięto decyzję, aby udzielić Francji dodatkowego kredytu w wysokości do 2 mld dolarów i w ten sposób zahamować spekulacje godzące w francuską walutę. Zaprzeczono również rewaluacji marki zachodnioniemieckiej. Czy jednak owe środki zaradcze okażą się wystarczające? Odpowiedź przyniosą najbliższe dni. Dziś natomiast możemy już stwierdzić, że po raz pierwszy po wojnie doszło na konferencji w Bonn do otwartego starcia w dziedzinie finansowej między USA, Francją i W. Brytanią z jednej strony, a NRF — z drugiej. Nie można wykluczać politycznych reperkusji tego starcia.

W. SŁAWSKI

ADAM NONAS

KLUB CZYTELNIKÓW ŚWIADOMYCH

Akcja „Człowiek—Świat—Polityka" jest inicjatywą stosunkowo nową, narodziła się bowiem w roku ubiegłym, ale już sprawdzoną. Zaobserwowano wyraźny wzrost zainteresowania literaturą społeczno-polityczną. Na terenie kraju odbyło się przeszło 2 tys. spotkań autorskich, 4 tys. wystaw książek oraz około 1,5 tys. kiermaszy, organizowanych w głównej mierze przez „Dom Książki". Do akcji włączyły się czynnie także inne instytucje. Biblioteki publiczne i związkowe współzawodniczyły w upowszechnieniu czytelnictwa książki społeczno-politycznej dla uczczenia 50-lecia Wielkiej Rewolucji Październikowej, „Głos Pracy" zorganizował konkurs-plebiscyt pn. „Bliżej książki współczesnej" itd. Ubiegłoroczne doświadczenia udowodniły przekonywająco celowość podjętej próby, wykazały potrzebę jej kontynuowania, tworzenia tradycji (stały termin 20—30 listopada) i rozszerzenia jeszcze bardziej zasięgu jej oddziaływania. Problematyka mieszcząca się w lapidarnym haśle: „Człowiek—Świat—Polityka" jest jednak bardzo szeroka, obejmuje zarówno dzieła z literatury pięknej, jak i popularne, broszury, książki naukowe i wydawnictwa encyklopedyczne z różnych dziedzin wiedzy.

Tegoroczne Dni odbywają się bezpośrednio po V Zjeździe naszej partii, a więc w okresie wzmożonego zainteresowania problematyką społeczno-polityczną. Dlatego też dobór książek na wystawy i kiermasze, jak również ustalanie tematyki spotkań autorskich i dyskusji o książkach, dokonywane będą przede wszystkim pod kątem upowszechniania czytelnictwa publikacji pogłębiających znajomość ideowo-politycznych treści Zjazdu oraz pomagających wcielać w życie jego wskazania w zakresie rozwoju gospodarki, nauki i kultury i dalszego umacniania socjalistycznych stosunków społeczno-politycznych w naszym kraju. Istotne znaczenie dla tematyki Dni mają też rocznice, które obchodziliśmy niedawno lub obchodzimy obecnie: 25-lecie Ludowego Wojska Polskiego, 50 rocznica odzyskania niepodległości, 50 rocznica powstania KPP, 20-lecie zjednoczenia ruchu robotniczego. Dobrą okazją do zaprezentowania dorobku postępowego i rewolucyjnego piśmiennictwa politycznego na przestrzeni ostatniego półwiecza, ze szczególnym uwzględnieniem roli książki w kształtowaniu socjalistycznej świadomości narodu w Polsce Ludowej, będzie zbiegająca się z terminem Dni 50 rocznica powstania Spółdzielni Wydawniczo-Księgarskiej „Książka", która dała początek partyjnemu wydawnictwu „Książka i Wiedza".

Podstawowymi formami popularyzacji książki społeczno-politycznej będą: dyskusje na temat wybranych książek, stosownie do zainteresowań danego środowiska, spotkania z autorami oraz działaczami politycznymi i społecznymi, konkursy czytelnicze w zakładach pracy, szkołach, bibliotekach oraz konkursy organizowane w skali powiatów i województw, nasilenie recenzji i informacji o wydawnictwach społeczno-politycznych w prasie, radiu i telewizji, wystawy książek w bibliotekach, klubach i zakładach pracy, ekspozycje tematyczne w oknach i wnętrzach księgarń, rozwinięcie kolportażu w zakładach pracy i na wsi, wzmożenie różnorodnych form sprzedaży literatury społeczno-politycznej (kiermasze, akcje ofertowe, subskrypcje). Nowym i ważnym zadaniem tegorocznych Dni będzie spopularyzowanie wśród najszerszych rzesz społeczeństwa Klubu Książki „Człowiek — Świat — Polityka". Organizatorami jego są redakcje terenowych gazet partyjnych i „Dom Książki". Chodzi tu o:

1. dotarcie z interesującymi nowościami literatury politycznej zarówno do wyrobionych czytelników, jak i zdobycie dla tej literatury nowych środowisk czytelniczych;
2. zapewnienie członkom Klubu stałej i pełnej informacji o literaturze społeczno-politycznej;
3. ułatwienie zainteresowanym odbiorcom zakupu i dostawy poszukiwanych książek;
4. umożliwienie kompletowania domowych biblioteczek literatury społeczno-politycznej.

Kluby książki, jak to wykazało doświadczenie innych krajów, są trwalszą formą kontaktu czytelnika z księgarnią, utrwalają nawyk kupowania i połączonego z tym wybierania książek. Nowy klub książki gwarantuje atrakcyjny wybór wydawnictw oraz zachęcające warunki przynależności. Na zestaw 30 proponowanych przez Klub tytułów składają się pozycje reprezentujące różne dziedziny literatury, od podstaw marksizmu-leninizmu, przez zagadnienia historyczne, problemy ideologiczne i ekonomiczne, do wspomnień i pamiętników z minionych lat walki oraz aktualnych relacji o wydarzeniach na świecie. Są w zestawie także pozycje mające charakter encyklopedyczny i przeglądowy.

Zgłoszenia do Klubu przyjmują wszystkie księgarnie „Domu Książki", zaś specjalnie powołana do tego celu księgarnia klubowa, mieszcząca się w Łodzi przy Al. Kościuszki 106/116 będzie zbierać zgłoszenia z terenu całego województwa i wysyłać książki członkom Klubu. Otrzymają oni specjalne legitymacje. Zakłada się, że członkiem Klubu może zostać każdy, kto z podanego zestawu wybierze choć jedną książkę. Ale pełnię zadowolenia daje dopiero wybór większej ilości pozycji, który uprawnia do otrzymania premii. I tak za każde 6 zamówionych tytułów przysługuje dodatkowa książka z zestawu premiowego. Maksymalna wysokość tej premii to 5 egz. dodatkowych książek. Drugi rodzaj premii — to bony książkowe. Przysługiwać ona będzie tym, którzy zamówią książki na sumę ok. 200 zł począwszy i dokonają wpłaty z góry. Jest to bodziec dość istotny, zważywszy że premia ma charakter progresywny i np. przy wpłacie ponad 800 zł wynosi 180 zł w bonach uprawniających do wyboru w każdej księgarni dowolnych książek za tę sumę. Lista przywilejów członka Klubu nie kończy się na premiach. Będą oni otrzymywać książki pocztą na wskazany adres na dwa tygodnie przed ukazaniem się tych tytułów w sprzedaży niezależnie od sposobu wpłaty i sposobu wysyłki — na koszt „Domu Książki".

Patronat nad organizacją i przebiegiem Dni, a więc i nad klubem, objęły instancje partyjne. Dowodzi to jak wielką wagę przywiązuje partia do tej akcji. Chodzi więc o to, aby przekształciła się w systematyczną, stałą działalność, zmierzającą do wydatnego rozszerzenia kręgów czytelników literatury społeczno-politycznej. Aby coraz więcej osób przyswoiło sobie umiejętność i nawyk systematycznego korzystania nie tylko z literatury pięknej, lecz także z książek przynoszących interesującą publicystykę oraz z pozycji popularno-naukowych.

ANTONI SZRAM

Ludwik Golec

KARTKI Z WYSTAWY

To, co oglądamy w pierwszej indywidualnej wystawie jego rysunku i grafiki w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych — jest bardzo osobiste. Kanwą dla refleksji jest tu kalejdoskop obrazów przemienionych w „theatrum". Collage i rysunek odkrywają — pod powłoką racjonalnego świata — roje istnień, z którymi widz może nawiązać nitki porozumienia. Jest tu walka z ograniczeniami świadomych decyzji, drwina z człowieka, który nie widzi swoich związków ze światem, człowieka wyalienowanego, afilozoficznego, nie umiejącego spojrzeć na siebie z dystansem, jest przedmiotem obserwacji i satyry, która jest jedną z odmian krytycznego dystansu, jaki stwarza sobie nasz artysta wobec każdego oglądanego zjawiska.

Z wykształcenia filmowiec, z zamiłowania grafik, z wyboru operator filmowy, z urodzenia twórca. Należy do ludzi utalentowanych. W telegraficznym skrócie jego działalność artystyczna wygląda mniej więcej tak:

Plastyka — zamieszcza rysunki w „Karuzeli", „Żołnierzu Polskim", „Odgłosach", „Ekranie", „Filmie", stale współpracuje z „Polską". Bierze udział w wystawach grafiki w kraju i za granicą (Międzynarodowa Wystawa Plakatu w Granadzie — Hiszpania). Otrzymał: wyróżnienie w konkursie, „Ziemia Łódzka w grafice" za pracę pn. „Łódź-miasto Tuwima" (sucha igła) w r. 1965, I nagrodę w konkursie Okręgu Łódzkiego ZPAP „Obraz, Rysunek, Rzeźba, Płaskorzeźba" za rysunek z cyklu „Głowy" — r. 1967.

Film — pracuje w WFO w Łodzi. Jako operator filmowy dokonał zdjęć do kilkudziesięciu filmów krótkometrażowych: oświatowych i popularno-naukowych. Otrzymał: III nagrodę za film pt. „Wojewódzkie kolumny dezynfekcyjne" (I Ogólnopolski Festiwal Filmów Rolniczych w Lublinie — 1962 r.), I nagrodę „Złotej Koniczynki" za film pt. „BHP w rolnictwie" (II Ogólnopolski Festiwal Filmów Rolniczych w Lublinie — 1964 r.), II nagrodę za film pt. „Montaż budynków inwentarskich" (Międzynarodowy Festiwal Filmów Technicznych w Sofii — 1968 r.

SYNOWIE BAŁUT

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

Rewolucyjny ruch robotniczy na Bałutach ma dawne tradycje i zapisał niejedną piękną kartę w historii naszego miasta. W rachitycznych domach nad cuchnącymi ściekami gnieździła się nędza. Słowo „Bałuciarz" było w Łodzi synonimem biedy a często i buntu przeciw rządom sanacji, która chcąc zatrzeć jego właściwy sens usiłowała nadać mu piętno niemalże obelżywego epitetu. Nie wstydzili się go jednak „Synowie Bałut", dla nich bowiem stał się powodem do słusznej dumy z dobrze spełnionego obowiązku.

Komuniści Bałut podobnie jak wielu działaczy KPP mimo rozwiązania partii nie przerwali antyfaszystowskiej działalności. Do września 1939 r. brali udział w ruchu zawodowym, życiu politycznym i społecznym. Walkę z hitlerowskim napastnikiem uważali za obronę kraju przed jego zaborczością. Niewielu z nich dostąpiło zaszczytu bronienia ojczyzny w mundurze polskiego żołnierza, bo tego obywatelskiego obowiązku nie pozwoliła im pełnić sanacja. Wylamywali kraty więzienne, śpieszyli drogami wiodącymi ku stolicy, by bronić jej w Robotniczych Batalionach Obrony Warszawy.

Nowym etapem w walce łódzkich komunistów było powstanie w połowie maja 1942 r. Polskiej Partii Robotniczej oraz powołanie Gwardii Ludowej.

Dzielnicę Bałucką PPR i GL organizowali przy pomocy istniejącego tu aktywu partyjnego Ignacy Loga-Sowiński i Mieczysław Moczar.

Partia i Gwardia Ludowa nasiliły i rozszerzyły wielostronną walkę z okupantem, począwszy od pracy propagandowej do walki zbrojnej. Podstawową formę walki stanowił jednak sabotaż ze względu na duże skupisko robotnicze i fabryczne.

Liczne aresztowania, które spadły na partię od 18 kwietnia 1943 r. osłabiły jej szeregi, natomiast działalność trwała dalej. Represje te nie były jednak w stanie zlikwidować organizacji. Dwukrotnie w wyniku aresztów reorganizowano Dzielnicowy Komitet PPR na Bałutach. Walka trwała dalej. Okrutne tortury stosowane przez gestapo nie załamywały członków Partii. Woleli zginąć niż zdradzić towarzyszy.

Drukując ich skromne wspomnienia pragniemy utrwalić w pamięci obraz narodzin nowej myśli politycznej z której wzięła swój początek władza mas ludowych w naszej Ojczyźnie.

CZESŁAW KARBOWSKI
I SEKRETARZ KD PZPR
ŁÓDŹ-BAŁUTY

Pierwsze kroki

Terror okupacyjny jaki wzmógł się w 1940 r. rodził wśród komunistów łódzkich potrzebę walki. Ludzie nie chcieli czekać z założonymi rękoma. Bierność nie jest cechą komunistów. Starsi towarzysze zaczęli do mnie przychodzić z pytaniami czy dalej będziemy spokojnie przyjmować panoszenie się Niemców i volksdeutschów. Odpowiadałem im, że na razie nie mam kontaktów, ale niech będą w pogotowiu.

We wrześniu porozumiałem się z Edwardem Makowskim. Dowiedziałem się od niego, że powstała w Łodzi organizacja tworząca grupy sabotażowe. Makowski skontaktował mnie z Edwardem Mużdżyńskim, którego znałem jeszcze sprzed wojny jako aktywistę KPP i miałem do niego zaufanie. Z jego polecenia zająłem się organizowaniem podobnych grup robotniczych wśród towarzyszy zamieszkałych w rejonie ulicy Zgierskiej, za gettem. Stąd właśnie nazwa organizacji „Za Gettem".

W 1941 r. przystąpiliśmy do działającej już na terenie Łodzi organizacji „Front" walki za Naszą i Waszą wolność".

Latem czterdziestego drugiego roku Mużdżyński powiadomił mnie o rozszerzonym posiedzeniu Komitetu. Na tym zebraniu towarzysz Loga-Sowiński i Czesiek Szymański przedstawili nam program Polskiej Partii Robotniczej. Dyskutowaliśmy nad nim długo, ale niemniej wszyscy jednogłośnie przystąpili do PPR.

W październiku 1943 roku i mnie dosięgły łapy oprawców, zostałem aresztowany i osadzony w więzieniu przy Szterlinga. Hitlerowcy byli brutalni i pedantyczni, ale sprytem nie grzeszyli. Ponieważ konfrontacja nic im nie dała pokazali mi zdjęcie na którym byli: Edward Mużdżyński, Franek Prożek, Stanisław Gajek i Antoni Grabowski. Najpierw zaczęli łagodnie, perswazją, a później biciem zmuszali do zeznań. Maltretowali mnie długo.

Twierdziłem uparcie, że nie mam i nie miałem nic wspólnego z gazetkami i literaturą. Ponownie mnie zbito i wrzucono do ciemnicy. Tam zaopiekował się mną pilot-major radziecki. Po każdym śledztwie smarował moje rany moczem i podtrzymywał mnie na duchu. Ostrzegał bym się do niego nie przyznawał. Trwało to wszystko sześć tygodni. Wreszcie śledztwo zakończono a mnie ledwie żywego przeniesiono do celi nr 21. W końcu listopada zabrano z naszej celi Leszka Lisowskiego. Z innych cel wywołano Henryka Marciniaka i Cieślaka. Nie kazano im nic z sobą zabierać. Wiedzieliśmy już co to oznacza. Egzekucje wykonano na dziedzińcu więziennym.

JAN BŁASZCZYK

Konspiracyjny lokal

W marcu 1942 roku przyszedł do mnie mój znajomy, Jan Piątkowski. Był w towarzystwie Mieczysława Moczara, którego wtedy nie znałem. Zaproponowali mi, abym oddał swoje mieszkanie na konspiracyjny lokal PPR. Wyraziłem zgodę, a także i moja żona.

Mieszkaliśmy w małym jednorodzinnym domku przy ulicy Żeglarskiej 13. Domek był ogrodzony wysokim płotem. Żeglarska dochodziła wtedy do ulicy Urzędniczej. Wąska ścieżka prowadziła stamtąd do Pojezierskiej. Właśnie tą drogą przychodzili często towarzysze odwiedzający mój dom.

W kilka dni później przyszedł Mieczysław Moczar z towarzyszem, który przedstawił się „Ignac". „Ignac" zaproponował już konkretne wykorzystanie lokalu. Miał się u mnie odbywać nasłuch radiowy i przepisywanie na maszynie woskówek na powielacz. Lokal miał także służyć „Ignacowi" za jedną z podstawowych kwater mieszkaniowych.

Otrzymałem zaraz pierwsze zadania partyjne. Miałem się zgłosić za kilka dni w bramie domu przy ul. Nowotki 79. Kiedy przyszedłem na umówione miejsce „Ignac" — jak się okazało — był to Ignacy Loga-Sowiński, wręczył mi maszynę do pisania. Przeniosłem ją do siebie, do domu. Następnego dnia towarzysz „Ignac" przystąpił do pracy. Wyszukaliśmy dobry schowek aby maszyna nie stała w widocznym miejscu. Woskówki przyniosłem z biura fabryki Johna, otrzymywałem je od sekretarki Stanisławy Dzięciołowskiej.

W moim mieszkaniu Ignacy Loga-Sowiński pisał artykuły, zamieszczane w łódzkiej prasie konspiracyjnej. Ponieważ biegle pisałem na maszynie, przepisywałem rękopisy towarzysza Logi na woskówki.

Od Franciszka Michalskiego otrzymaliśmy radio. Przetransportowałem je od niego do swego mieszkania samochodem firmowym Johna. Nasłuchu dokonywaliśmy z różnych źródeł, zależnie od tego jaką stację udało nam się złapać. Najczęściej udawało nam się łapać stacje szwajcarskie, zwłaszcza Berno w języku niemieckim. Słuchaliśmy także Moskwy i Londynu. Rosyjski i niemiecki znał towarzysz Loga. Ja znałem dobrze tylko niemiecki. Zdobyte wiadomości tłumaczyliśmy na język polski i umieszczaliśmy w „Biuletynie Radiowym".

Dzień pracy towarzysza „Ignaca" był wyczerpujący. Wczesnym rankiem wychodził do miasta. Kierował łódzką organizacją PPR. Do domu wracał o późnej porze bardzo zmęczony, nieraz głodny. Zdarzało się, że wpadł, odpoczął chwilę i dalej chciał pędzić do miasta. Często z żoną prosiliśmy, aby zjadł i dobrze wypoczął przed nowym, równie pracowitym dniem jutrzejszym. Nie zawsze nasze prośby odnosiły skutek. Wracał późno w nocy, do świtu pisał, nasłuchiwał radia, by po kilkugodzinnej drzemce znów rozpocząć normalny dzień pracy kierownika konspiracyjnej organizacji. Rzadkie były dni odpoczynku.

Praca tak absorbowała towarzysza Logę-Sowińskiego, że w naszym mieszkaniu nocował czasem tylko raz w tygodniu. Powodem była jak najdalej idąca konspiracja. Miał bowiem i inne lokale konspiracyjne. W naszym mieszkaniu nie przyjmował zbyt wielu gości. Nieraz tylko przychodził „Mietek" — Moczar, Czesław Szymański lub Kazimierz Maciejewski z drukarni po odbiór woskówek.

FRANCISZEK WIŚNIEWSKI

Ukrywałem Saszkę Kuźniecowa

W moim mieszkaniu na Dołach ukrywał się przez kilka tygodni Saszka Kuźniecow. Pamiętam, w kwietniu 1943 r. po przygodzie z żandarmami, przebrałem go w mundur konduktora i przewiozłem na ulicę Lipową 40 do mieszkania towarzyszki (nazwiska nie pamiętam), gdzie miał zastępczą kwaterę.

U mnie został wyznaczony również punkt łącznikowy dla oddziału partyzanckiego wyruszającego w początkach maja do walki. Po rozbiciu oddziału pod Głownem, zatrzymał się na krótko w naszym mieszkaniu Henryk Marciniak. Zaczęła się wtedy seria aresztowań.

Mnie aresztowano nocą w zajeździe. Rano aresztowano moją żonę Annę.

Zarówno ja, jak i moja żona zaprzeczaliśmy jakimkolwiek przedstawianym nam przez gestapo dowodom. Z tym większą zaciekłością dobrali się do naszej skóry. Pokazano nam najpierw album z fotografiami niektórych członków partii. Potem przedłożono narzędzia, którymi zostały rozkręcone przez Promienistych szyny na linii Zgierz—Stryków. Następną konfrontację mieliśmy z Marcinem Bakosiem. Mimo wszystko w dalszym ciągu zaprzeczaliśmy. Po pięciu tygodniach śledztwa zdjęto mi kajdany i z celi nr 13 przeniesiono do celi nr 24. Tam spotkałem towarzysza Tadeusza Głąbskiego. Zajął się on mną i pomógł przetrwać ciężki okres więzienny.

CZESŁAW JANIAK

Prowokatorem był Nau

Postanowiliśmy wysłać następną grupę dwudziestu pięciu gwardzistów — w tym dwunastu członków „Promienistych" w lasy lubelskie. Broń dla nich posiadaliśmy. Gdzie ona się znajduje wiedział przede wszystkim Marciniak. Niestety został aresztowany przez gestapo. Aresztowano równocześnie jego żonę. Tym samym Komitet Dzielnicowy „Za Gettem" po tym fakcie, a było to w drugiej połowie maja 1943 r. został rozbity. Kontaktu z Reliszką nie udało mi się nawiązać. Postanowiłem działać w porozumieniu z pozostałym aktywem tej dzielnicy. Powołaliśmy nowy Komitet. Postanowiliśmy, że jeśli uda nam się odszukać Leona Reliszkę, włączymy go automatycznie do pracy jako starego członka KD, znającego miejsce ukrycia broni. Na tej broni szczególnie nam zależało. Była ona potrzebna dla uzbrojenia następnej grupy „25-ciu", która rwała się do boju. Członkom tej grupy palił się grunt pod nogami. Zmuszało to dowództwo do przyśpieszenia wymarszu.

W tym czasie przystąpiono do konstruowania granatów chałupniczym sposobem, jak również materiałów samozapalnych, w które miała być zaopatrzona uzbrojona grupa. Surowiec do produkcji granatów i materiałów samozapalnych — calcichloricum, siarkę, węgiel, cukier, glicerynę i kwas siarczany — dostarczali nam Patora i Rzetelski. Rzetelski otrzymywał część tych materiałów od Janiny Ruty. Gumę i mikromierz zdobyłem w fabryce, przekazałem je Rzetelskiemu.

20 czerwca 1943 r. na zebraniu, które się odbyło w moim mieszkaniu ustaliliśmy termin wymarszu na 28 czerwca. Miejsce zbiórki wyznaczyliśmy w lesie łagiewnickim. Ustaliliśmy, że jeśli w ciągu trzech dni nie znajdziemy Reliszki, to ja pokieruję akcją zdobycia broni na Żabieńcu u Niemców Fana i Cereckiego. W akcji tej mieli brać udział wszyscy członkowie Komitetu. Plan nasz znał tylko Bronisław Zapała — łącznik Komitetu Łódzkiego PPR. On też wydał Rzetelskiemu polecenie wymarszu II grupy partyzanckiej w Lubelskie.

Ponieważ kilku członków KD miało wejść w skład oddziału, musieliśmy zreorganizować komitet partyjny. Tymczasem 26 czerwca aresztowano wielu uczestników od-

Sztandar Łódzkiej Obwodowej Organizacji PPR.

działu. Z członków KD pozostałem na wolności ja i Gierkowski, który w tym czasie zmienił adres. Ukryłem się u Patery na Hrabiowskiej. W końcu sierpnia otrzymałem gryps z więzienia od Marciniaka. Doręczył mi go zwolniony z aresztu Stanisław Popowicz. Marciniak donosił, że mogę dalej działać ponieważ nie jestem znany gestapo. Poszukiwany jest natomiast Gierkowski.

Szybko odszukałem Gierkowskiego i uzgodniłem z nim, że wyjedzie na wieś do brata mej żony i tam będzie działał z Bronisławem Kruczkowskim. Pożegnałem się z nim 25 sierpnia. W dwa dni później dowiedziałem się od Romana Naua, że spotkał na ulicy Glinianej Gierkowskiego i ten zapoznał go z naszymi planami. Nau postanowił uczcić odjazd Gierkowskiego, zapraszając go na skromne przyjęcie. Finał był niespodziewany. Otóż Nau mimo późnej pory zaczął głośno śpiewać. Przechodzący przypadkowo dwaj żandarmi weszli do mieszkania, chcąc ich aresztować. Nau jednak zatarasował sobą przejście, aby ułatwić Gierkowskiemu ucieczkę. Dostało mu się przy tym parę uderzeń i potężnych kopniaków podkutymi butami. Jeden z żandarmów wystrzelił za wybiegającym Gierkowskim. Ten nie chcąc ryzykować życiem zatrzymał się i został ujęty. Żandarmi odprowadzili obu do komisariatu. Gierkowskiemu groziła niewielka kara, ponieważ miał fałszywe dokumenty. W wydziale śledczym został niestety rozpoznany i oddany w ręce gestapo. Nau został zwolniony. Pokazywał mi ślady uderzeń i mandat karny.

STANISŁAW KOWALCZYK

BIBLIOTEKA może poczekać...

KONRAD FREJDLICH

Zasiedziali łodzianie doskonale pamiętają poczciwe gmaszysko przy ulicy Andrzeja Struga 14, siedzibę Miejskiej Biblioteki Publicznej w latach międzywojennych i w pierwszym okresie po wyzwoleniu. W pokojach zagraconych półkami otwierał się dla wielu zaczarowany świat książek; pochylony nad bibliotecznym pulpitem nie jeden zostawił tutaj swą młodość. Dziś pomieszczenia te zestarzały się jeszcze bardziej i stały się jakby mniej przestronne, bo każdy wolny centymetr powierzchni zabierają nowe, wciąż przybywające książki. I gmach już właściwie nie ten sam: sztab Biblioteki przeniósł się do budynku przy ulicy Gdańskiej, a jego miejsce zajęła skromna już tylko wypożyczalnia książek, jedna z wielu w śródmieściu.

Chciałoby się ciągnąć dalej tę opowieść w sentymentalnym tonie, przez szacunek dla wspomnień naszych ojców i dziadków, ale obowiązek wobec współczesnych nie pozwala: przytulam się do pieca, solidnego i jakby nie wielkomiejskiego pieca i już nie dziwię się, gdy mi powiadają, że wilgoć często o sobie daje znać w tych progach i grzyb toczy stropy.

W bocznym pokoju, gdzie rezyduje kierownictwo Biblioteki Dzielnicowej Łódź-Śródmieście, wisi na ścianie duża mapa miasta ze starannie wyrysowanymi granicami dzielnic. Centrum, jak afrykański kontynent, ma na niej kształt stylizowanego parabellum. Jego kontury wyznaczają ulice: Telefoniczna, Północna, Gdańska i Czerwona, ciągnie się więc od Stoków po Górniak. Ogromne terytorium zamieszkałe przez 150.000 ludzi.

Elżbieta Ciepłucha, kierowniczka, informuje mnie od razu:

— Mamy najwyższą średnią czytelników w skali Łodzi.

A ja sobie myślę: dobrze to, czy źle? Bo jeszcze, tak samo jak Wy, nie rozumiałem magii cyfr, którymi będę Was tutaj musiał zasypać. Ta średnia to 2.300 czytelników. Dla porównania: na Bałutach — 1100, na Widzewie — 1500.

Więc powiedziałem:

— Pewnie przekraczacie plany, gratuluję.

Ale kierowniczka nie chciała podzielić mego entuzjazmu. Powiedziała jakoś z żalem:

— Niestety, plan przewiduje w skali dzielnicy ponad 26.000 czytelników, a my we wszystkich naszych wypożyczalniach nie mamy ich razem więcej niż 20.000.

W pokoju zrobiło się cicho, wszyscy milczeli. Po jakiejś chwili, z wahaniem, bo jednak obawiałem się, że znowu palnę jakieś głupstwo, zagadnąłem niespodziewanie radośnie:

— Jeśli macie najwyższą średnią, a mimo to nie możecie wykonać planu czytelników, to chyba inne dzielnice mają jeszcze większe kłopoty!

Patrząc na twarz mej rozmówczyni, kamienną mimo tego okrzyku, pojąłem, że i tym razem entuzjazm mój jest co najmniej przedwczesny.

Jeszcze raz podeszliśmy do mapy. I popatrzyłem sobie na czarno oznaczone kropki, dziewięć plamek odcinających się od tła planu: każda kropka to rejonowa wypożyczalnia. W śródmieściu jest ich 9, słownie dziewięć. I jeszcze raz dla porównania: na Bałutach — 23, na Polesiu i Górnej — 13, na Widzewie — 10.

Już tylko te liczby, zestawione sobie ot tak, po prostu, bez głębszej analizy, muszą wywołać zdumienie. Śródmieście jest w tym szeregu na samym końcu jak ubogi krewny dzielnic, które zwykliśmy z przyzwyczajenia uważać za peryferyjne. Ale ich wymowa na niekorzyść „uprzywilejowanego" śródmieścia pogłębi się jeszcze bardziej, kiedy zestawimy te liczby z obowiązującym w Łodzi normatywem. Przewiduje on, że jedna rejonowa wypożyczalnia czy jak kto chce, biblioteka, przypadać powinna na 10.000 mieszkańców. Łatwo obliczyć sobie, że śródmieście ma na tym odcinku bardzo głęboki deficyt wynoszący dokładnie 6 placówek bibliotecznych.

Jeszcze kilka lat temu sytuacja ta nie rzucała się w oczy. Podobny obraz znaleźć można było w pozostałych dzielnicach i tylko miasto jako całość niekorzystnie prezentowało się w tabelach bibliotekarstwa w Polsce. Od tego czasu jednak wiele się zmieniło: gwałtownie rozbudowano sieć wypożyczalni książek na Bałutach, Górnej i Polesiu. Wraz z nowym budownictwem wkroczyły do tych rejonów inwestycje kulturalne, przede wszystkim właśnie biblioteki. Łódź awansowała w ogólnopolskich tabelach, był to zresztą awans nie tylko statystyczny.

Ale Śródmieście, ciasno zabudowane, ominęły te inwestycyjne prądy. Śródmieście się po kawałku rozbiera, poszerzając ulice, przebijając pasaże, układając nowe tory tramwajów. Do śródmieścia, na miejsce opróżnione po rozbiórkach, wprowadza się handel i biura. Biblioteki muszą jeszcze poczekać.

Z tym liczą się wszyscy, z tym godzą się nawet bibliotekarze, z tym musi się pogodzić także statystyczny mieszkaniec śródmieścia, zagorzały amator książek. Godzi się, ale jednak narzeka. W wypożyczalniach ciasno: ciasno przy katalogach, ciasno przy bibliotecznej ladzie, gdzie po książkę trzeba stać bez mała w kolejce. Bibliotekarkom omdlewają ręce przy wypisywaniu kart, bo etaty dopasowane są do normatywu, który nie przewidział takiego przeciążenia pracą.

Czytelnik śródmiejski ma zresztą jeszcze więcej powodów do narzekań. Rozmieszczenie punktów bibliotecznych także przedstawia wiele do życzenia. Z pewnych ulic trzeba do wypożyczalni jechać długo tramwajem czy autobusem, a to odrobinę zniechęca. Ludzie przyzwyczaili się już, że w dobie telewizji mają we własnym mieszkaniu kino czy teatr, chcieliby więc mieć do biblioteki nie dalej niż do sklepu spożywczego.

Bibliotekarze rozumieją te pragnienia, zdają się też je doceniać władze dzielnicy, ale przeszkody piętrzą się bez końca. Oto jeden z wielu przykładów tych przeszkód.

Skoro aktualnie nie przewiduje się w śródmieściu budowy nowych bibliotek, postanowiono zaadaptować odpowiednie lokale w starych budynkach rozszerzając sieć czytelnictwa i naprawiając nieco wadliwą geografię rozmieszczenia wypożyczalni książek w dzielnicy. Dwoje specjalnie oddelegowanych pracowników chodziło przez kilka dni po mieście wypatrując łupu, zaglądało do cudzych mieszkań, pertraktowało z ich właścicielami. Zatrzaskiwano im przed nosem drzwi, gdzie indziej wzruszano ramionami, ale postawili na swoim: znaleźli takie lokale. Tylko że nie wystarczy znaleźć. Znalezisko stało się przekleństwem.

Nawet dziecko orientuje się, że nie ma dziś pustych, przez nikogo nie zajętych mieszkań. To były lokale ogromne, zamieszkałe przez całe rodziny: dwie, trzy nie licząc sublokatorów. I te rodziny trzeba wyprowadzić dając im nowe mieszkania

Ojcowie dzielnicy wprowadzili te lokale do planów kulturalnej rozbudowy śródmieścia. Ale są bezradni. W śródmieściu, jak wiadomo, nie buduje się jeszcze mieszkań, robi się to wyjątkowo. Nowe budownictwo mieszkaniowe jest domeną Bałut i Górnej. A te dzielnice mają własne, równie wielkie potrzeby i wcale nie są skore do robienia prezentów z mieszkań, z tylu mieszkań Więc przejęcie lokali na biblioteki przedłuża się i nikt nie jest chyba w stanie powiedzieć, jak długo to jeszcze będzie się przeciągać.

A pani kierowniczka, Elżbieta Ciepłucha, marzy sobie:

— Otworzymy tam nowe wypożyczalnie dla młodzieży. Z wolnym dostępem do półek, jak wszędzie. Koniecznie dla młodzieży, bo teraz najmłodsi nie bardzo mają gdzie się podziać Mamy tylko dwie takie wypożyczalnie w śródmieściu.

Potem rozmawiamy już luźno o blaskach i cieniach zawodu bibliotekarza, o specjalizacji placówek, którą realizuje się z uporem, co nie jest wcale łatwe ze względu na niewystarczającą liczbę książnic i o tym, że w jednej z wypożyczalni z wolnym dostępem do półek jakiś niewydarzony bibliofil przywłaszcza sobie pełne wydanie Boya, systematycznie, cierpliwie, wynosząc za każdym razem po jednym tomie.

Ale najbardziej zaskoczyła mnie wiadomość, że kierownik domu studenckiego na ulicy Bystrzyckiej nie pozwolił na wywieszenie tabliczki informującej o istnieniu tam VIII Rejonowej Biblioteki.

No bo rzeczywiście: czego on się tak boi?

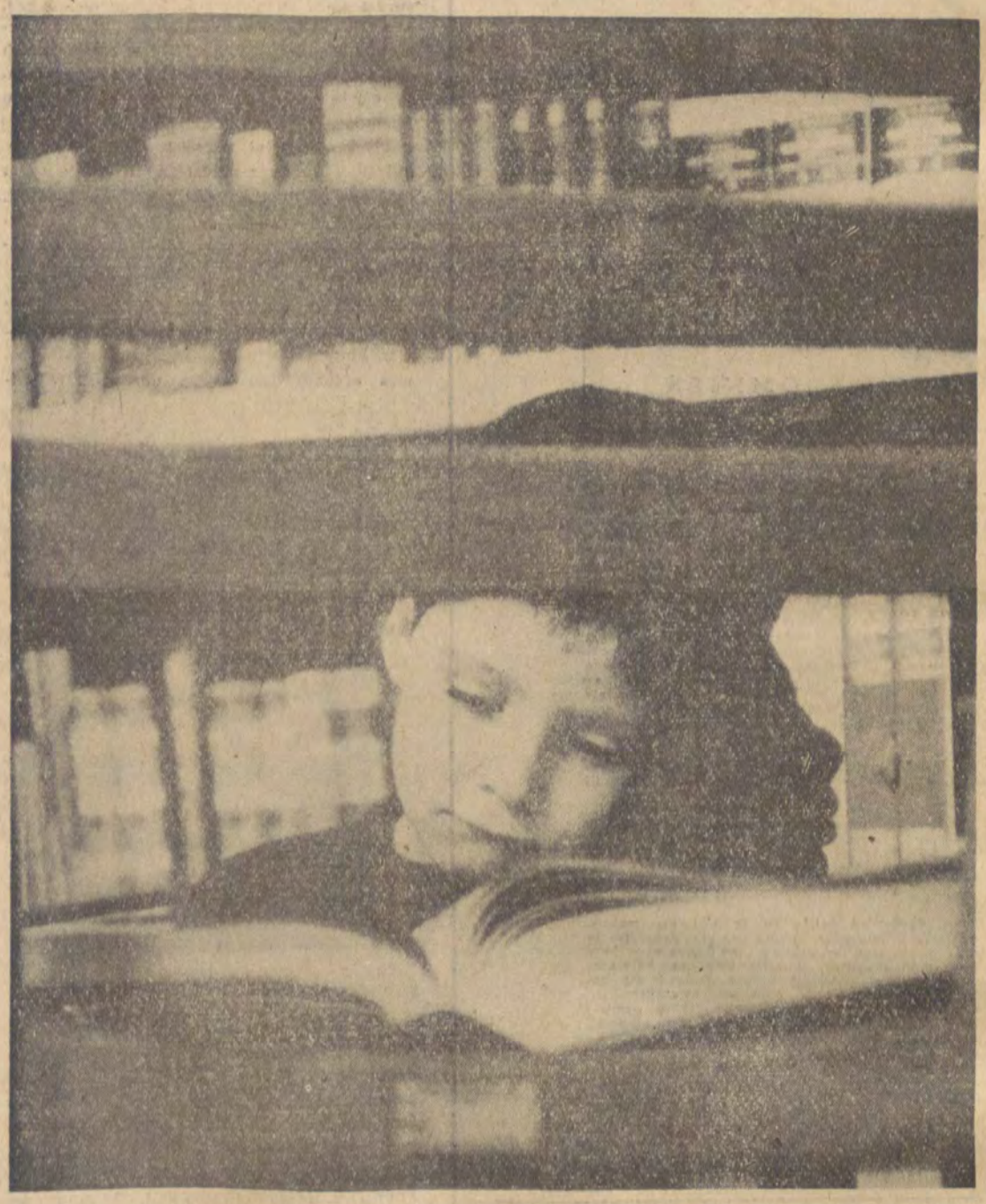

PRACA jak przygoda

Dalszy ciąg ze str. 1

mrozu, ukształtowali los przyszłego inteligenta, faceta mądrego, zamożnego. Także ten samochód trabant, panie doktorze, jest z ich cholernego potu.

Szacunek — przez poznanie na własnej skórze, jak niełatwy jest ów trud na rozjazdach kolejowych, albo w ulewnym słońcu zbożowego żniwa, w piekielnym żarze konwertorów. I również przez świadomość, że tam zaczynają się takie sprawy, jak siła ludzka, nowoczesność i Rzeczpospolita.

Wreszcie troska — aby ulżyć, udoskonalić, uczynić pracę człowieka bardziej efektywną, mniej ciężką, zbliżyć ją do „błogosławieństwa", oddalić od „przekleństwa", służyć jej myślą i wiedzą.

No bo to jest w końcu treścią socjalizmu.

3.

Sprawozdanie KC PZPR postuluje wychowanie młodzieży akademickiej poprzez pracę fizyczną, na trzech niejako płaszczyznach: w czynach społecznych, w codziennym działaniu na rzecz własnego środowiska oraz w obowiązkowej, odpłatnej pracy produkcyjnej, na którą przeznaczona zostanie część niewątpliwie długich studenckich wakacji. Czy to jest jakieś istotne novum? Zastanówmy się.

Wszystko na to wskazuje, że nie o nowość chodzi, lecz o odrobienie bardzo poważnego zaniedbania. Te metody pracy wychowawczej były doskonale znane mojemu pokoleniu — i na pewno z dużym sentymentem wspominają własny udział w niełatwych przedsięwzięciach, które kosztowały trochę potu — reżyser teatralny Jan Skotnicki, aktorka Sidonia Błasińska, redaktor Krystyna Tamulewicz, czy kierownik Biura Prasy KC Stefan Olszowski. Wszyscy w końcu „kimś" jesteśmy — każdy na miarę zasług — ale każdego z wielu, wielu tysięcy, cechuje ogromny szacunek dla ludzi, twardej pracy fizycznej, poczucie jedności z nimi. Ostateczny rozrachunek działania na każdym odcinku — rachunek przed samym sobą — przebiega pod hasłem: czy nie zawiodłem klasy robotniczej.

I dlatego dyrektywa KC będzie postrachem tylko w wyobraźni ludzi o małych duszyczkach, takich, jaką posiada pewien par mecenas wstydzący się swojej matki ze wsi i młody „bananowiec" i pewien dureń wypinający się na robotników w fabryce, z racji posiadania dyplomu inżyniera w kieszeni.

4.

Czy tylko nakaz moralny i argumenty rozumowe? Ba, żeby na to odpowiedzieć — należy cofnąć się w przeszłość.

Moja przygoda, duża, urocza przygoda z kolektywną pracą fizyczną ma swoją długą historię. Wszystko zaczęło się w roku 1950, gdy wyjechałem z zetempowską brygadą na żniwa do woj. koszalińskiego. Byłem wówczas uczniem dziesiątej klasy słynnego Liceum im. Tadeusza Kościuszki. W tej szkole kultywowano tradycję pracy społecznej, samorządności, koleżeństwa. Niemała w tym zasługa mądrej pedagoga Mieczysława Woźniakowskiego, późniejszego kuratora m. Łodzi.

Właśnie w brygadach ZMP z 1950 roku uczestniczyła urocza Dońka Błasińska, o-

Rozmawiamy z rektorem PWSSP J.M. prof. Zdzisławem Głowackim

Dalszy ciąg ze str. 1

likwidacji uległy wszystkie katedry indywidualne, a nowy rok akademicki rozpoczęliśmy z siedmioma katedrami zespołowymi, przy zachowaniu organizacji dwuwydziałowej. W dalszej przyszłości myślimy o powołaniu do życia instytutu międzykatedralnego.

— Jakie to wydziały i katedry?

— Mamy dwa wydziały: tkaniny i ubioru, a w ich ramach: trzy katedry malarstwa, jedną grafiki, jedną historii i teorii sztuki oraz dwie specjalistyczne — tkaniny i ubioru.

Ale struktura organizacyjna to tylko jedna strona zagadnienia. Dyskusja nad nią została zakończona. Trwa nadal dyskusja nad sprawą na pewno nie mniej ważną — zagadnieniami programowymi. Jesteśmy uczelnią, która kształci ludzi przenoszących zdobyte umiejętności ideowo-artystyczne do produkcji, przekładających teorię sztuki na język życia codziennego, popularyzujących sztukę w setkach i tysiącach przedmiotów codziennego użytku. Nie jest więc rzeczą obojętną jakimi drogami osiągniemy efekty artystyczne, jakie były pobudki ideowe tych czy innych koncepcji.

Linia ideowo-artystyczna naszej szkoły wyrosła z najbardziej postępowych i awangardowych tradycji dwudziestolecia międzywojennego w naszej sztuce — ze szkoły Strzemińskiego i jego uczniów. Czerpaliśmy i czerpiemy z tych tradycji historycznych, ale życie idzie naprzód, naprzód idzie sztuka. Postęp przejawia się w nowych ideach, nowych kształtach artystycznych. Ze zjawisk dzisiejszego życia staramy się wydobyć to co ideowe i postępowe, staramy się wybiegać myślą w przyszłość, przewidywać dalsze kierunki rozwoju tych idei. Staramy się wychowywać młodzież tak, by była chłonna i wrażliwa na to co w kształtujących się kierunkach, prądach i zjawiskach jest najlepsze, najbardziej wartościowe, najbardziej nam potrzebne i pożyteczne.

Dla przykładu. Mówi się dziś często, że malarstwo staje się przeżytkiem, anachronizmem. Nie zgadzam się z tym. Malarstwo na przestrzeni swej 30-wiecznej historii przeobrażało się i przeobraża nadal. Może tylko bardziej gwałtownie, bardziej radykalnie niż dawniej, towarzysząc ogólnemu rozwojowi cywilizacji, techniki, korzystając z jej zdobyczy. Malarstwo, rzeźba, grafika integrują się tworząc nowe wartości, łącząc w jedno pojęcie plastyki. Być może za kilka czy kilkanaście lat do takich faktów jak bryła, światło, fotografia czy coraz częściej pojawiający się ruch, dołączą się jeszcze zjawiska nowe, na przykład zapach czy smak.

Gdzieś, na jakimś etapie te przemiany mogą wywrzeć konkretny wpływ na naszą praktyczną działalność. Bo w gruncie rzeczy nasza praca teoretyczna może być od razu włączana do produkcji. Wszystkie wzory dyplomowe studentów muszą być przyjęte przez komisję branżową i zatwierdzone do produkcji.

— Myślę, że w tak ścisłym powiązaniu z produkcją przemysłową, potrzeby przemysłu i kierunki jego rozwoju muszą mieć wpływ na program studiów?

— Oczywiście, nasz rozwój, ukierunkowanie studiów zależą od tego co się dzieje w przemyśle lekkim, jakie stawia się przed nim zadania, jakie są jego potrzeby. To jest również nasze powiązanie z miastem — stolicą przemysłu lekkiego. Ale w Łodzi rozwija się obecnie przemysł elektroniczny, przemysł precyzyjny i sądzę, że w naszym programie będziemy musieli uwzględnić nowe potrzeby tych gałęzi.

Inną sprawą, która leży nam na sercu i którą również powinniśmy uwzględnić, jest poważny w Łodzi brak grafików dla potrzeb grafiki użytkowej — od plakatu, książki po drobne opakowania. Łódź cierpi również na brak plastyków — projektantów wnętrz.

— PWSSP jest chyba nie tylko dostawcą „gotowych" projektantów wzornictwa przemysłowego, ale współpracuje z przemysłem na co dzień, a studenci jeszcze w toku studiów zapoznają się z przyszłym warsztatem pracy?

— Powiązania, te codzienne o których Pani mówi, są bardzo ścisłe i to nie tylko poprzez praktyki, które nasi słuchacze odbywają w zakładach pracy. Jest to również wielostronna wymiana świadczeń. Przemysł lekki w szerokim tego słowa znaczeniu udziela nam pomocy, my ze swej strony staramy się rewanżować w miarę możliwości. Przemysł pomaga nam w fundowaniu stypendiów dla studentów i etatów dla personelu specjalistyczno—instruktorskiego, służy pomocą w zaopatrzeniu maszynowym i materiałowym. My organizujemy kursy dokształcające dla personelu technicznego i projektantów w przemyśle, organizujemy plenery dla projektantów i wystawy. Nie mówiąc o naszym zadaniu podstawowym — kształceniu dla przemysłu artystów — plastyków wyspecjalizowanych we wzornictwie przemysłowym. Już w tej chwili 85 procent projektantów w kluczowym przemyśle lekkim stanowią nasi absolwenci. W dalszym ciągu potrzeby przemysłu w tej dziedzinie są tak duże, że nie jesteśmy w stanie ich zaspokoić aż do roku 1975.

— A propos. Ilu studentów kształci w tej chwili uczelnia?

— Mamy obecnie 387 słuchaczy. Przy okazji chciałbym się pochwalić wynikami nauczania, które uległy w ostatnim roku znacznej poprawie. O ile w latach 1961—1965 procent odsiewu wahał się w granicach około 22—13, to w ubiegłym roku wyniósł tylko 2 procent. W ostatnim roku poprawił się również stan socjalny nowo przyjętych słuchaczy. W ubiegłym roku akademickim przyjęto na studia 12 procent młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego, w bieżącym — ponad 56 procent.

— Panie Rektorze, chyba rok temu rozmawialiśmy o lokalizacji nowego i nowoczesnego gmachu szkolnego dla PWSSP i o perspektywach, jakie da szkole uzyskanie tego budynku. Czy budowa została już rozpoczęta?

— Czas szybko mija. Rozmawialiśmy o tym przed trzema laty. Przez te trzy lata Miastoprojekt sporządził już trzecią wersję projektu wstępnego, sprawa nie ruszyła z miejsca, a my pracujemy nadal w czterech punktach miasta, w lokalach, które nazwać można zastępczymi, bo nie przystosowanymi do potrzeb uczelni. Wprawdzie ja nigdy nie uważałem, że gmach jest dla szkoły sprawą najważniejszą, że może się zdarzyć iż w pięknym gmachu nie realizuje się pięknych treści, no ale naprawdę wolałbym, żeby nasze piękne treści miały już oprawę, którą nam obiecano. Tymczasem wydaje mi się, że bez interwencji i pomocy władz miejskich nie uda się rozpocząć budowy w 1970 roku.

Nowy gmach zabezpieczyłby nam realizację poszerzonego programu i pozwolił na dalsze śmielsze planowanie. No a poza tym, co jest sprawą niebłahą, część warsztatowa uczelni nareszcie znalazłaby się w odpowiednich warunkach.

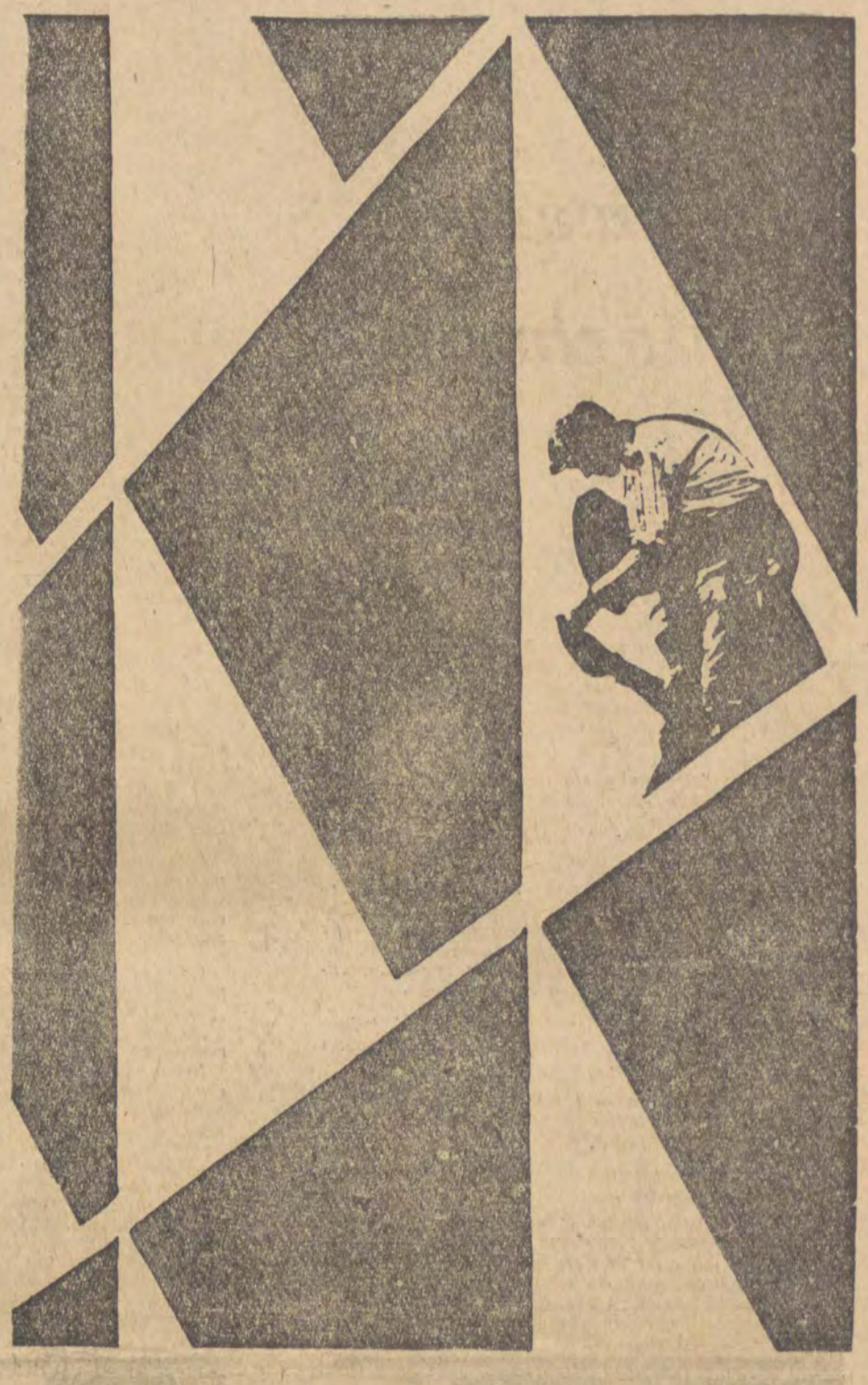

— Sprawy ideowo-wychowawcze znalazły się dziś wśród czołowych zagadnień wyższych uczelni. Jak problemy te kształtują się w łódzkiej PWSSP, jak ocenia Pan działalność organizacji młodzieżowych na terenie uczelni?

— W ostatnim okresie, po wydarzeniach marcowych, obserwujemy znaczne ożywienie działalności tych organizacji, zarówno ZMS, który jest u nas organizacją dość liczną, jak i ZSP — organizacji wręcz masowej. Przeprowadziły one ostatnio kilka imprez natury artystyczno-propagandowej, czynnie włączyły się do organizowania i realizowania konkursów, wystaw, akcji plenerowych (Fame 68, plener w Chełmnie, liczne konkursy graficzne itd.), a także do akcji natury politycznej z okazji 1 Maja czy V Zjazdu. Jesteśmy w trakcie nawiązywania bliższych kontaktów z zakładami przemysłowymi, kontaktów typu nie produkcyjnego. W tej chwili rozmawiamy na ten temat z ZPB im. Marchlewskiego. Będzie to współpraca dwutorowa: zakład — uczelnia i ZMS zakładu — ZMS uczelni.

Staramy się wdrażać młodzież do samodzielnego myślenia, samodzielnego podejmowania decyzji i organizowania imprez różnego typu. Na przykład studenci sami organizują wystawy, sami prowadzą akcję informacyjną i popularyzatorską, prelekcje na terenie domów akademickich, innych uczelni, a także poza Łodzią, w województwie.

W system dydaktyczno-wychowawczy wpletliśmy też prace usługowo-badawcze. Nasza młodzież, w ramach tych zajęć, projektuje druki, rekwizyty dla filmu, opracowała projekty dla Muzeum Ziemi Rawskiej, a długofalowo — odzież roboczą dla służby zdrowia, elementy opakowań dla przemysłu itd.

Myślę, że nasze posunięcia, a także ożywienie wewnątrz organizacji młodzieżowych, przyniosą dobre rezultaty wychowawcze.

— Dziękujemy za rozmowę i — jeszcze raz gratulacje z okazji nagrody.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

---

becna aktorka, wówczas jeszcze uczennica. Dziś, gdy usłyszę pięknie recytowany list Tatiany do Oniegina — przypominam sobie słoneczne pola, zaciętą rywalizację, samochody pełne worków ze zbożem, na których pędzimy szosą białogardzką, ryczące radośnie jakąś piosenkę.

Potem przyszedł rok 1951 — matura i wyjazd do pracy z brygadą organizacji „Służba Polsce". Tam już było twardziej, bardzo po męsku — w błotach olsztyńskich, w kopalni torfu, w zielonych mundurach i gumowych butach po kolana. Kilometry lasów, żmije, dramaty i sukcesy dni powszednich, awanse, dobra robota. Dziś, gdy słyszę w Teatrze Wielkim niski, piękny, bohaterski głos — zawsze trzymam kciuki za Saciuka, niech mu śpiewa się najlepiej w całej Europie — przecież to nasz „Pacio", zapiewajło z 2 kompanii 33 Brygady SP — chłop, który „trzaskał" 150 procent normy.

A wcześniej były jeszcze „subotniki" — świetna inicjatywa szkolna, bodaj pomysłu obecnego dr Macieja Mackiewicza. W każdą sobotę, po lekcjach, brygada w czarnych kombinezonach, do której dostać się można było tylko za dobre stopnie, pracowała przez cztery godziny na terenie Łodzi. To my uczestniczyliśmy w laniu betonu pod fundamenty Teatru Wielkiego w 1951 roku.

Przyszły studia — wraz z nimi brygady żniwne. Z każdych wakacji oddawaliśmy dwa tygodnie, a stawki w PGR były wówczas znacznie niższe niż obecnie. Gazety pisały: „studenci i żołnierze pomagają w zbiorach chleba dla kraju". Nosiliśmy głowy wysoko.

A pegeery nie stanowiły dla nas tylko pracy — poznawaliśmy przecież kolegów z różnych uczelni polskich i zagranicznych, odbywaliśmy wielkie raidy po kraju. Czekały na nas wysiłek, zabawa, kolektywy kipiące zapałem, często przyjaźń i równie często miłość — byliśmy przecież młodzi. Tak przeleciały przed oczami Witnica Chojeńska, Kostrzyń, Runowo Pomorskie — w deszczach i słońcu.

Przyszedł rok 1954, a wraz z nim odkrycie Bieszczadów przez studentów w akcji wykopkowej. Była to bowiem jesień zagrożonych zbiorów buraków i kartofli. Już nigdy takich Bieszczadów nie zobaczycie — z wilkami i dzikami w biały dzień, w ogromnej głuszy pod Nehrybką, Lipą i Birczą. Wszyscy śpiewali wówczas szlagier „Cicha woda"; w kryształowym powietrzu stały majestatyczne, kolorowe lasy. Podsekretarz stanu Tkaczow — w czarnej skórzanej kurtce, z gigantycznymi czarnymi wąsiskami — mówił wzruszony: „dziękuję wam, dziękuję wam chłopaki".

5.

Dziś, gdy jest mi źle, albo chcę zdobyć trochę nowego doświadczenia, albo przekonać się o swojej wartości — idę pracować na jakiś czas do fabryki. Nie każdy sobie może na to pozwolić, tak jak reporter. Ale każdy może to zrobić, gdy jest jeszcze bardzo młody, studiuje i szuka prawdy.

6.

Więc pytam młodych: co sądzicie o propozycji, o mądrej dyrektywie KC?

Staszek odpowiada bardzo szczerze: „Zazdrościmy wam waszego entuzjazmu. Nasza moda na zgrzybiałych staruszków, to nieprawda, to tylko poza i trochę jakby kompleks młodszego brata. Patrzę na moich kolegów i myślę czy też przeżyjemy swoją wielką przygodę".

Odpowiada Henryk — inżynier in spe, student PŁ, fotoamator: „Dobrze, że pomyślano o tej historii w sposób zorganizowany. To przecież świetna okazja dorobienia sobie grosza w czasie wakacji. I zdrowo, bo człowiek zasiedzi się w ciągu roku jak ten mól książkowy. Studenci francuscy już od dawna jeżdżą latem na winobranie. A poza tym, to fajno być gdzieś razem — wzmacnia koleżeństwo".

Mówi Tadek: „Śmierć frajerom".

7.

Tylko od was zależy, Staszku, Henryku — czy potraficie przeżyć swoją wielką przygodę. I od was zależy los Tadka. On przecież musi zmądrzeć.

ROBERT GLUTH

WACŁAW KONDEK

Czwarta Marianna

Marianna od dłuższego już czasu była smutna — chociaż nadrabiała wesołą miną.

Ale to było na zewnątrz — to był tylko pozór — bo w środku gryzły ją troski jak złe psy, brak pieniędzy na niezbędne potrzeby; pieniędzy których nie mogłem i nie umiałem zarobić, ustawiczne kłopoty z dziećmi — już dorastającymi, codzienny kierat domowych obowiązków no i dorywcza, męcząca praca zleceniowa — bo Marianna jest z wykształcenia plastykiem: stara się łapać od czasu do czasu różne prace, aby jakoś załatać dziury w budżecie domowym.

Pilnowanie dzieci, aby się uczyły, aby każdy był syty, aby dom był jako tako czysty — trudności gospodarcze, piętrzące się coraz bardziej z dnia na dzień spowodowały, że Mariannę ogarniał smutek, narastający nieustannie.

Cóż mogłem zrobić i w jaki sposób jej pomóc; te marne grosze, które z trudem wyciskałem (jak z kamienia) wystarczały zaledwie do pierwszej dekady miesiąca, a o prace zlecone było coraz trudniej, jako, że na moje i jej nieszczęście nie posiadam silnych łokci ani zbyt dużego sprytu życiowego.

Żal mi było Marianny serdecznie i wstyd jednocześnie, że nie mogę zapewnić jej i dzieciom przyzwoitego bytowania.

Marianna jest dobra — i jak może stara się stłumić melancholię, ukazując uśmiechniętą twarz, skrywając troski wewnątrz siebie.

Wyjeżdżałem w teren; Cóż mogłem Mariannie powiedzieć na pożegnanie.

Mogłem ją tylko ucałować niezgrabnie, zdając sobie sprawę z tego, że biedy tym nie załatam.

A wiosna stała na świecie pełna nadziei, niejako na progu, uśmiechając się mimo wszystko obłokami, niebem, świeżą zielenią i pogodnym słońcem.

Wyjechałem więc redakcyjną „warszawą", aby obejrzeć nowy świat po zimowych szarugach.

Pęd auta, świeży wiatr i igrające słońce w delikatnych koronach drzew, kazały rychło zapomnieć mi o smutnej Mariannie uśmiechającej się z ciasnej kajutki naszego mieszkania przez okno na ulicę i pracującą nad doprowadzeniem domu do jakiego takiego porządku.

Gdy tak jechaliśmy owiani świeżym wietrzykiem, ciągnącym od pól na spotkanie świata, rychło zapomniałem o smutkach, poddając się urokowi wszechobecnej wiosny.

I gdy dojeżdżaliśmy do Piotrkowa — nagle po lewej stronie szosy, idąc wolno, w szaro-niebieskim kostiumiku, z rozwianymi jasnoblond włosami szła jakaś młoda niewiasta — akurat w kierunku naszej jazdy.

Powiedziałem więc do kierowcy, aby trochę zwolnił, moglibyśmy przecież zabrać po drodze samotną kobietę, idącą na piechotę do Piotrkowa. Szofer zaczął zwalniać, zbliżać się powoli do niewiasty, która mi się wydawała coraz bardziej znajoma, chociaż widziałem ją przecież od tyłu.

Szła pewnym, lekkim krokiem, spiesząc chyba do miasteczka, a wiosenny wiatr rozwiewał jej jasne włosy tworząc aureolę wokół głowy. Ruchy, sposób chodzenia, sposób trzymania głowy wydały mi się znajome.

Gdy ją powoli minęliśmy, przystając — aby zaproponować jej dowiezienie do miasta — ujrzałem ją z przodu; — ujrzałem jej twarz. To była Marianna.

„Jakim cudem tu się wzięłaś?" — zapytałem zdumiony, bo przecież niedawno się z nią pożegnałem.

Marianna uśmiechnęła się jak wiosenne słońce i odrzekła: „żadnym cudem! Tak sobie wyszłam na mały spacer, aby przy sposobności obejrzeć Piotrków."

„Wsiadaj do wozu — pojedziemy razem dalej, bo na piechotę za daleko" — a w duchu myślałem, — jak to możliwe, aby Marianna mogła nas wyprzedzić idąc pieszo.

Ale sama jej obecność w wozie była ważniejsza niż to dziwne wydarzenie i jadąc dalej, ciągle odwracałem się do tyłu (Marianna siedziała na drugim siedzeniu w wozie — a ja, jak zwykle przy kierowcy).

Przestałem się dziwić nieoczekiwanemu spotkaniu i rozmawialiśmy na sposób wiosenny, beztrosko i niepoważnie. I tak dojechaliśmy do Piotrkowa, obejrzeliśmy stare miasto, napiliśmy się kawy. Marianna była wesoła — zupełnie inna niż przy pożegnaniu.

Po obejrzeniu tego i owego, zrobieniu paru rysunków fary i niektórych kamieniczek, pojechaliśmy do Nowego Miasta nad Pilicą — bo dzień zapowiadał się długi i można było dużo rzeczy obejrzeć.

I znowu — daleko już za Piotrkowem — ujrzeliśmy niewiastę samotną, nie pierwszej już młodości, ale idącą wolniej, przed nami, dźwigającą w obydwu rękach siatki z wiktuałami.

Powiedziałem kierowcy: „Podjedź pan do niej — po co się męczyć ma piechotą z tymi ciężarami".

Kobieta miała prawie taki sam szaro-niebieski kostiumik jak Marianna w wozie; — ale włosy tym razem były ciemnoblond gładko zaczesane i krok niezbyt swobodny; — zapewne z racji dźwigania ciężarów. I znowu wydała mi się jakaś znajoma. Gdy przystanęliśmy przed nią, zapraszając do wnętrza — zdumiałem się ogromnie.

To była znowu Marianna!

Ale wiosenny uśmiech gdzieś się skrył, choć twarz nadal była pogodna. Wzięliśmy ją — nawet nie miałem zbyt wiele odwagi zapytać ją, skąd się tu wzięła. Przyjąłem ten fakt jako najzupełniej naturalny.

Marianna wsiadła do wozu, usiadła obok Marianny pierwszej i jechały już Marianny dwie obok siebie — jednako miłe, chociaż druga od pierwszej nieco starsza.

Ta o ciemnych włosach była poważniejsza — chociaż nadal uśmiechnięta i życzliwa. I znowu widząc tyłem do kierunku jazdy, a przodem do obydwu Mariann rozmawiałem naraz z pierwszą i drugą, nie dziwiąc się już niczemu.

Słońce wspięło się na środek nieba — było upalnie — pełnia lata; — otworzyłem okna dla przewiewu i pędziliśmy po drogach województwa, mijając wsie, zatrzymując się w miasteczkach, lasach, nad rzekami; rysując kościółki i jedząc jabłka i gruszki, które druga Marianna miała w siatce; — i tak włócząc się po drogach, zbierając felietony gdzie się dało i rysunki do nich, zajechaliśmy do Sieradza.

Dojeżdżając do miasta, minęliśmy most na Warcie; — i znowu na samotnej, pustej szosie ujrzeliśmy idącą powoli w znanym już szaro-niebieskim kostiumiku niewiastę, trzymającą w jednej ręce parasol, bo deszcz się rozpadał na dobre — a w drugiej jakieś papiery i przybory pewnie do pracy plastycznej. Niewiasta bardzo znajoma, choć włosy tym razem rude — ale chód, ruchy i sposób trzymania się ten sam.

Znowu poprosiłem kierowcę o zatrzymanie się — bo po cóż samotna kobieta miała moknąć na deszczu? Gdy podjechaliśmy bliżej — niejako od frontu — i zatrzymaliśmy się czekając, aż podejdzie, już się nie zdziwiłem, że tą trzecią kobietą była Marianna. Była równie uśmiechnięta jak tamte, ale starsza od tamtych dwóch; ta sama dobroć i życzliwość w oczach jak u tamtych.

Otworzyłem drzwi wozu — poprosiłem do wnętrza i oto w wozie siedziały już Marianny trzy. Tę trzecią można było nazwać jesienną; rudy kolor włosów, pogoda w twarzy przesłoniętej lekką mgłą zadumy.

Siedziały przy sobie: wiosenna, latowa i jesienna. Sieradz pozostawiliśmy za sobą i dalej goniliśmy po asfaltowych drogach, zbierając rysunki i opowiadania gdzie się dało; raz pędząc przez wrześniową słoneczną pogodę, raz przez deszcze i mgły — ciągle naprzód — ciągle rozmawiając naraz już z trzema Mariannami.

I wszystkie trzy były takie same, choć różniące się wiekiem; w takim samym kostiumie, przerobionym z mojego starego ubrania. Marianny się uśmiechały bez przerwy — z oczu ich płynęła ta sama życzliwość i ciągle mi się mieszały ze sobą i zapominałem w rozmowie, że przecież Mariannę zostawiłem w domu.

Rysując, spotykając się ze znajomymi po muzeach, rozmawiając z kim się dało po drodze, poznając nowych ludzi, zrobiliśmy ogromne koło po województwie i pod koniec dnia, gdy czerwone słońce zanurzało się zwolna w opary jesiennych mgieł, wróciliśmy wreszcie po całym zgonionym dniu do domu.

Przed domem podpisałem się aż trzy razy na rozkazie wyjazdu kierowcy, podziękowałem za miłą jazdę i pożegnałem go i z trzema Mariannami wszedłem do domu.

Ale zaledwie przekroczyliśmy próg, przywitała nas znowu Marianna.

Była to Marianna Czwarta; — twarz zmęczona chociaż uśmiechnięta, w niemłodej już twarzy młode, szare oczy, równie życzliwe jak dawniej; koło oczu zmarszczki — ale nie — to złudzenie — żadnych zmarszczek — tylko na dnie uśmiechu zamglony smutek. I nie różniła się niczym prawie od tamtych trzech. Włosy tylko stały się siwawe jak szron — a pod nimi ciągle te same młode oczy.

W ręku trzymała szklankę, doprowadzając ją ściereczką do idealnej przezroczystości.

Tak — to była Marianna Czwarta — ta najbardziej prawdziwa, którą ciągle spotykałem na drogach, a teraz czekała na mnie, uśmiechając się tak, że srebro jej włosów wcale jej nie postarzało.

Cóż mogę dać tej Najprawdziwszej?

Nic, bowiem nie przywiozłem z całodziennej podróży — najmniejszego nawet gościńca.

TERESA GABRYSIEWICZ

Nigdy

Wywiadówki
nigdy nie przychodziłeś na nie
tyle zwiędło w dzienniczkach
nie obejrzanych piątek
nie zobaczyłeś
(ojcowie zwykle dumni są z córek)
moich pierwszych pantofli
na wysokich obcasach
pamiętam
to była studniówka
taki trochę zazdrosny
nie wyjrzałeś oknem
pierwsza randka
czekał piegowaty śmieszny
z ręką w kieszeni
i biletami
na jakiś tam film
teraz też
nie czytasz moich wierszy
tyle ich napisałam dla Ciebie
Nigdy
nie przyniosę ci z kiosku
gazety
papierosów nie podam
nie dane mi zwyczajnie
położyć bratków
na twoim grobie
Oświęcim Tatusiu
miejsce wykreślone z moich szlaków
może
rozdeptałabym tam
twoje prochy

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

„PRZEDWIOŚNIE"

Przebiegającą nie od dziś granica między starym a nowym, dramatyczne rozdarcie, od którego zamierało serce wielkiego patrioty i jednego z największych polskich pisarzy — granica, która biegnąc już od początków dwudziestego stulecia między Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy, a Polską Partią Socjalistyczną wydłużała się pod zmiennymi nazwami partii postępowych i rewolucyjnych w okresie pierwszej niepodległości aż po chwilę obecną, ta granica jeszcze teraz jako relikt, przeżytek, ślad przeszłości daje się niekiedy zauważyć nawet dzisiaj w umysłach ludzi starszego pokolenia, któremu przypadło w udziale wnieść swój wkład w budowę ludowej ojczyzny na przełomie dwóch epok, w świecie podzielonym na dwa przeciwstawne obozy. Stąd — ciągle żywa aktualność „Przedwiośnia", którego wybór jako pozycji programowej należałoby z punktu widzenia polityki repertuarowej uznać za zasługę Teatru im. Jaracza.

Natomiast można, a nawet należy wysunąć zastrzeżenia co do samej adaptacji, w której zaprezentowano nam „Przedwiośnie".

W utworze Żeromskiego znajdujemy najpełniejszy obraz Polski w latach 1920—1923 jaki nam przyniosła literatura narodowa okresu między dwiema wojnami. Był to obraz Państwa, o którym — w wyniku pogłębiającej się niesprawiedliwości społecznej, rozbicia życia politycznego na 32 stronnictwa sejmowe, w wyniku impotencji rządu i sejmu, szalejącej inflacji, drożyzny i lichwy — można było wtedy powiedzieć, że „Polska nierządem stoi".

Wstrząsające epizody „białego terroru", prześladowania działaczy rewolucyjnych, dyskryminacja postępowych kierunków społecznych, anemiczne i nieudolne próby reform, groźna w swej grotesce Nawłoć — czegóż było trzeba więcej do stworzenia pełnego obrazu, klimatu politycznego, stanu umysłów i chaosu, w jakim pogrążał się kraj? Wszystko to pokazał w „Przedwiośniu" Żeromski. Dramatyczne pytanie pisarza: „Ma cież wy odwagę Lenina, żeby wszcząć dzieło nieznane, zburzyć stare i wszcząć nowe?" i finał powieści — pochód bezrobotnych na siedzibę naczelnika Państwa — zamykały ideowo i artystycznie powieść, do której — adaptując ją nie wolno było niczego dodawać, co nie było z Żeromskiego, gdyż niczyje słowa nie mogły w tym dziele zastąpić lub uzupełnić pytania „Być albo nie być", z jakim autor „Przedwiośnia" zwracał się do całego narodu.

Niestety, stało się inaczej. W programie teatralnym czytamy, że w części drugiej adaptacji wykorzystano dwa fragmenty procesu brzeskiego.

Z pewnością, proces brzeski to niezapomniany i doniosły fakt historyczny, który domaga się zapisu artystycznego i czeka na pisarza, który by potrafił przetworzyć go w wizję artystyczną. Ale czy godziło się urywki ze stenogramu sądowego tragedii narodowej późniejszej o siedem lat z górą od akcji toczącej się w „Przedwiośniu" włączać do adaptacji powieści?

Czy nie należało raczej wstawić fragmentów stenogramu procesu świętojurskiego przeciwko komunistom lwowskim, który toczył się od 22.XI.1922 r. do 11.I.1923 r. i który to stenogram przesłali Żeromskiemu anonimowi nadawcy? Daty te pokrywały się z czasem trwania akcji powieściowej, i co ważniejsze — fakty opisane w stenogramie świętojurskim były znane Żeromskiemu w czasie pisania powieści, która została ukończona 21.IX.1924 r.

Laura Kościeniecka (Alicja Zomer) i Cezary Baryka (Bogumił Antczak).

Fot. Fr. Myszkowski

Tak czy inaczej, „uzupełnianie" arcydzieła, które przemawia do wszystkich własnym głosem, musi wzbudzać sprzeciw i jest chyba dowodem niewiary w znaczenie i skuteczność słów pisarza, który silniej i głębiej niż współcześni mu twórcy oddziaływał na wyobraźnię narodową.

Wreszcie, pytanie najważniejsze: Czy adaptacja oddaje wiernie klimat „Przedwiośnia" i czy przekazuje wielkie pytania stawiane narodowi? Czy odsłania wątpliwości i wahania, z którymi zmagało się serce i myśl pisarza?

Odpowiedź na to pytanie musi wypaść negatywnie. Adaptacja zawiera fragmenty ujęte w formie rapsodycznej (wspomnienia z Baku), w formie komediowo-obyczajowej (Nawłoć) i w formie publicystycznej (sceny sądowe będące wstawką i trzecią część powieści, „Wiatr od wschodu"). Sceny rapsodyczne mają charakter liryczno-wspomnieniowy, w którym została zagubiona dynamika wydarzeń rewolucyjnych w Baku i tragedia, towarzysząca powrotowi repatriantów do Polski. Autor adaptacji nie próbował nawet wyeksponować dramatu starego Baryki umierającego w pociągu wiozącym ojca i syna do kraju. Natomiast komediowo-obyczajowe sceny w Nawłoci nie przekazują groźnej groteski życia ziemiaństwa, które zaważyło fatalnie na losach narodu, jak to widział Żeromski, i są pozszywanymi bezładnie strzępami fragmentów drugiej części powieści. Wreszcie, w „Wietrze od wschodu" zatracona została pasja polemiczna, z jaką powieść atakuje kluczowe zagadnienia Polski w latach 1920—1923. Zaważyła tutaj nieodpowiednio obsadzona rola Lulka, którego znamy z powieści jako fanatyka „nadzwyczajnie oczytanego i świetnego dialektyka" i „jako jegomościa j u ż s t a r s z e g o, który umiał we właściwej chwili pchnąć długim puginałem szyderstwa i zjadliwej drwiny". Część winy i tutaj ponosi jednak autor adaptacji, który nie potrafił wybrać dla Lulka odpowiedniego tekstu z powieści. Zadanie reżyserii (Barbara Jaklicz) było niełatwe. Wydaje się, że tylko jeden, nieżyjący już, niestety, wielki reżyser mógłby sprostać trudnościom adaptacji i realizacji scenicznej — niezapomniany Leon Schiller.

Z postaci, które wydawały się najbliższe naszym wyobrażeniom o bohaterach „Przedwiośnia", wysunął się na plan pierwszy Bogumił Antczak w roli Cezarego, Feliks Żukowski w roli starego Baryki i bardzo interesujący w roli świadka-policjanta Henryk Staszewski w epizodzie wyjętym ze stenogramu sądowego.

Stefan Żeromski: „Przedwiośnie", adaptacja sceniczna Jerzy Adamski, reż. Barbara Jaklicz, scenografia Ewa Soboltowa, muzyka: Piotr Hertel.

półka z książkami

SERGIUSZ I ISADORA

Dwa obszerne szkice literackie złożyły się na tę od dawna oczekiwaną książkę, która bez upiększeń wprowadza polskiego czytelnika w osobowość wybitnego radzieckiego poety, Sergiusza Jesienina. Anatol Marienhof przyjaciel poety i współzałożyciel grupy imażynistów, we wspomnieniach zatytułowanych „Romans z przyjaciółmi" opisuje początki wiasnej działalności literackiej i swoje liczne kontakty z Jesieninem, którego wiersze już wówczas zdobyły w Rosji znaczny rozgłos. Na uwagę zasługuje zwłaszcza rzetelność w przedstawieniu tła epoki. Marienhof bowiem nie ograniczył się w swym szkicu do portretowania Jesienina, choć podaje wiele interesujących i mało znanych szczegółów biograficznych. Liryczny, osobisty ton narracji czyni wspomnienia Marienhofa niezwykle sympatycznymi dla czytelnika.

Bogactwo faktografii znamionuje także szkic zatytułowany „Spotkania z Jesieninem", którego autorem jest Ilia Szneider, radziecki działacz oświatowy pełniący rolę oficjalnego opiekuna Isadory Duncan w czasie jej pobytu w Rosji Radzieckiej. Funkcja ta pozwoliła mu poznać dzieje tragicznej miłości słynnej tancerki i Jesienina, który uwielbienie dla jej sławy przeniósł na kobietę. Ten romans, jakby żywcem przeniesiony z melodramatu, doprowadził do wstrząsającego finału: jak wiadomo, Jesienin, w pełni sił twórczych popełnił samobójstwo.

Praca Szneidera, choć przeładowana szczegółami, daje chyba zbyt uproszczony obraz targnięcia się poety na swe życie. Czytelnik znajdzie w niej jednak wiele fascynujących zdarzeń z życia Jesienina, które rzucają snop światła na tak bardzo splątaną biografię wielkiego poety.

Wydawca zaopatrzył książkę w liczne ilustracje, które dobrze uzupełniają te dwa, tak różniące się, literackie portrety.

K.F.

„Spotkania z Jesieninem", przełożył Adam Galis, PIW, 1968, str. 216.

SPOTKANIA Z HISTORIĄ

Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk dał nam szansę poszerzenia, a także przypomnienia wiadomości historycznych, które mają to do siebie, że nie odświeżane „lubią się" zapomnieć. Ukazał się właśnie pierwszy tom nowego cyklu historycznych publikacji pod nazwą „Konfrontacje historyczne". Autorzy postanowili pokazać miejsce Polski w dziejach powszechnych, w powiązaniu z historią innych państw europejskich. Już samo zestawienie tematyki poszczególnych szkiców pozwala przekonać się, że każdy znajdzie tu coś dla siebie. Bo obok zagadnień ekonomicznych znajdziemy bogate w obyczajowe ciekawostki problemy życia społecznego, obok tematyki dotyczącej życia politycznego i działalności instytucji państwowych, szkice z dziedziny kultury. Pierwszy tom cyklu — „Polska pierwszych Piastów" przynosi materiały dotyczące najwcześniejszych dziejów naszego państwa. Pozycja tym ciekawsza i cenniejsza, że źródeł pisanych dla tego okresu nie ma zbyt wiele, a te które posiadamy są bardzo zwięzłe i lakoniczne. Tom zawiera szkice czterech historyków — Tadeusza Manteuffla, Stanisława Trawkowskiego, Danuty Borawskiej i Tadeusza Lalika. Fakt ten wpływa nie tylko na niejednolitość stylu, ale nawet na różnicę poglądów w interpretacji opisywanych faktów historycznych, co niewątpliwie uatrakcyjnia i tak pasjonującą lekturę. Dobrze się stało, że cykl „Konfrontacji Historycznych" pod redakcją Bogusława Lesnodorskiego pomyślany został jako pozycja popularno-naukowa. W ten sposób poszczególne tomy mogą cieszyć nie tylko historyków. Trzeba jeszcze odnotować niezwykle staranną i estetyczną szatę graficzną, która może usatysfakcjonować nawet najbardziej wybrednego bibliofila.

B.M.

„Polska pierwszych Piastów" — red. T. Manteuffel. Wiedza Powszechna. Warszawa 1968, stron 320, cena zł 25.—

ODZYSKIWANIE GENIUSZA

Od niedawna trwa na świecie renesans twórczości Andrzeja Płatonowa, jednego z genialnych twórców porównywanych do Hemingwaya i Szołochowa. A przecież ten współczesny nam autor zmarł zaledwie w 1951 r., szczęśliwie uniknąwszy losu wielu znakomitych pisarzy (Babel, Jasieński). Napiętnowano go przydomkiem kosmopolity, indywidualisty i nihilisty. A dzisiaj na temat Płatonowa organizuje się sesje naukowe, wydaje się jego utwory, nie tylko w ZSRR, lecz w Anglii, Japonii, Czechosłowacji, na Węgrzech itd. Płatonow odnosi sukcesy o jakich nie marzył za życia. W czym więc tkwi siła tego człowieka?

Zanim odpowiemy, wypada przypomnieć, że nasz czytelnik dzięki wydanym w 1965 r. „Utworom wybranym", a ostatnio „Osadzie Pocztylionskiej" ma możność poznać twórczość tego pisarza. Siła tej twórczości tkwi w zdumiewającej prostocie, niepowtarzalnym uroku i głębokim humanitaryźmie z jakim Płatonow odnosi się do świata i ludzi. Stąd przed jego krytykami piętrzą się trudności nie do przebycia, gdyż pisarz ten nie pasuje do żadnej szkoły literackiej i nie pozwala zmieścić się w ustalonych schematach krytycznych. Wykracza daleko poza przyjęte konwencje pisarskie.

Ostatnia książka Płatonowa wydana przez Czytelnika w serii „Nike" pt.. „Osada Pocztylionska" zawiera zaledwie pięć utworów, ale to w zupełności wystarcza, by stwierdzić, że miał rację Gorki, kiedy powiedział o nim, że posiada „zdumiewający, zuchwały talent".

E. J.

Andrzej Płatonow: Osada Pocztylionska. Czytelnik. 1968 r. stron 468. Cena 24 zł.

NIEZŁE MIASTO

Na temat naszego miasta krąży wiele sprzecznych, a nawet wykluczających się nawzajem opinii, ocen i porównań. I słusznie, bo Łódź nie jest miastem, które daje się łatwo zakwalifikować, skatalogować i odłożyć na półkę z historycznymi pamiątkami. Jest miastem, które ciągle się staje, zmienia, przeobraża, rośnie. Uchwycić tę ulotność „twarzy" miasta to zadanie trudne i ambitne. Postanowił się z tym zmierzyć łódzki publicysta Jerzy Urbankiewicz. W rezultacie powstała chyba jedna z najciekawszych książek o Łodzi o nieco pretensjonalnym tytule „SUKIENNICE NAD ŁÓDKĄ". Ale i na tym pretensjonalność książki się kończy. Reszta to przyjemna, interesująca lektura napisana ze szczerą sympatią dla miasta, oprawna w bogactwo anegdot i opowiastek, zdumiewająca różnorodnością szczegółów, szczegółików i zdarzeń z życia mieszkańców Łodzi, na przestrzeni co najmniej ostatnich lat siedemdziesięciu.

Mimo że książka wypełniona jest po brzegi historią, nie jest to książka historyczna w dosłownym tego słowa znaczeniu. Autor co rusz robi wypady w stronę współczesności. Ukazując dawny koloryt miasta koncentruje się szczególnie na mentalności jego mieszkańców. Czyni to, co Bloch określił swego czasu jako „poznawanie samych siebie przy pomocy własnej pamięci". Zresztą forma reportażu historycznego świetnie się do tego zabiegu nadaje. Urbankiewicz z wielką sprawnością odmalowuje całą egzotykę stosunków międzyludzkich kapitalistycznej Łodzi. Uświadamia nam równocześnie jak dalecy już jesteśmy od tamtych czasów. Dziś nikt nie może sobie na przykład wyobrazić samobójstw z głodu, które w okresie przedwojennym nie należały w tym mieście do rzadkości. Przypomina o śmierci pięknej rewolucjonistki Władysławy Bytomskiej. Schwytana na ulicy przez szpicli, skrępowana i oblana benzyną spłonęła w sposób najtragiczniejszy z tragicznych. Zbrodnia miała miejsce w r. 1938. I zaraz w tej samej książce inny obrazek. Dwie damy popisujące się na cyklodromie jazdą na dwóch olbrzymich bykach. Ot i cała Łódź, Bombaj Europy, mieszanka narodowości Polaków, Żydów, Niemców, Czechów, fabrycznego przepychu i nędzy proletariatu, geszeftu i miłości, walki i szmuglu, męczeństwa, strajków, plajt, zamachów bombowych, bankietów, bankrutów, zdarzeń posępnych, śmiesznych, tragicznych i zabawnych.

Ze stronic tej książki wyziera ku nam cała galeria lodzermenschów, bałuckich typów i typków, chojeńskich cwaniaków i żydowskich handlarzy. Wszyscy należą już do bezpowrotnej przeszłości. Urbankiewicz wyszperał ich na nasz użytek, odkurzył nieco z pyłu i pokazał na moment, na krótką chwilę. Uczynił to ze znajomością przedmiotu, z dociekliwością reportera, z dokładnością historyka, ze swadą gawędziarza i ironisty, bez czułych sentymentów, a raczej drwiąco jako, że jest Łodzi apologetą racjonalnym i trzeźwym. Ponieważ w dodatku książkę cechuje sprawność narracji, styl przejrzysty, jasny, klarowny, czyta się ją przyjemnie, szybko i tanio. Cena 13 zł łącznie ze stylowymi ilustracjami, które narysował Sławomir Arabski. Edytorem — Wydawnictwo Łódzkie 1968. Nakład niestety 2.500 plus 265 egz. Jak na dobrą książkę o niezłym mieście, chyba zbyt skromny.

KAROL BADZIAK

Jerzy Urbankiewicz: „Sukiennice nad Łódką", Wyd. Łódzkie, 1968

MIECZYSŁAWA WALCZAK

„Stendhal i S-ka"

czyli komedia omyłek

Wątek główny „Stendhala i S-ki" K. Choińskiego sprowadza się do tego, iż niejaki pan Ksztyk rozgłosił w pewnej mieścinie sensacyjną wiadomość jakoby w jego domu mieszkał swego czasu Stendhal, a co za tym idzie, ów Ksztyk poddaje projekt utworzenia muzeum pamiątek po wielkim pisarzu francuskim. Tym wzniosłym i chwalebnym zamierzeniom przyświeca zgoła inny cel, a mianowicie... naprawa wodociągu. Za sprawą mitu o Stendhalu robi się w miasteczku niemały szum, delegacje, telefony, prawdziwi i fałszywi dziennikarze itp.

Pomysł ten nadaje się z pewnością na niezłą farsę, ale dla wypełnienia czasu 3-aktowej sztuki nie wystarcza. Dlatego też zapewne, autor postanawia, gwoli urozmaicenia i zapchania „dziur", wprowadzić wielowątkowość akcji aby przy okazji załatwić problem łapówkarstwa, nieuctwa, grafomaństwa, rozwodów, konfliktu rodzice a dzieci itd., itd.

Nie koniec na tym. Choiński uważa, że jak w każdej „szanującej" się komedii tak i u niego muszą wystąpić tzw. perypetie miłosne. Pojawia się ON — „Zbigniew prawie poeta", ONA — „Agnieszka miejscowa Sandie Shaw przed maturą" i ten trzeci — „Papczyk człowiek z inicjatywą". Nie brak tu nawet próby tajemniczego porwania rozmarzonej pannicy przez quasi werterowskiego kochanka.

Widza, który zna poprzednie utwory sceniczne Choińskiego zaczynają razić powtarzające się w jego sztukach środki wyrazu. Dla przykładu — do uzyskania efektów akustycznych bardzo lubi wykorzystywać... telefon. „Dzwoni" on przez dziesięć minut bez mała na początku „Cedrowego dworu", mówi się o nim dość często w „Nocnej opowieści", a już w „Stendhalu i S-ka" brzęczy niemalże przez cały czas trwania spektaklu. Jest to niewątpliwie ułatwienie sobie życia, ale dlaczego widz ma ponosić konsekwencje tych twórczych zabiegów?

Podobnie rzecz się ma z poczciwym nazwiskiem Kowalski, znanym już z „Nocnej opowieści", a zajmującym pierwszoplanowe miejsce w nowej komedii tegoż autora. Niby sama myśl dobra, bo nazwisko to dzięki swej popularności może określać każdego, przeciętnego Polaka, a więc jest typowe. Niemniej przydałyby się nowe koncepty jako że odbiorca „odgrzewanych" pomysłów nie lubi.

Jest rzeczą zrozumiałą że tego rodzaju sztuka nie może być zbyt wdzięcznym polem do popisu dla jej realizatorów.

Niewątpliwie, w reżysersko-aktorskim zamyśle można dopatrzeć się pewnej koncepcji. Np. wyodrębnienie trzech grup postaci. Kowalski (Kazimierz Iwiński) i jego żona Maria (Żelisława Małska) to przeciętni ludzie, marzący zapewne o jednorodzinnym domku, samochodzie i karierze;

Współczesna młodzież potraktowana jest, chyba niesłusznie, jednolicie, stereotypowo na zasadzie uproszczeń. (Agnieszka — Grażyna Marzec, Jurek — Stanisław Kwaśniak, Jacek — Jerzy Balbuza, Zbigniew — Józef Zbiróg);

Wreszcie różne persony, gdzie same już nazwiska, niejako mówiące, jasno charakteryzują owe postacie: Kwasiłupski (Sławomir Misiurewicz) Wypieralska (Lena Wilczyńska), Pipsztacki (Zdzisław Jóźwiak), Kłapak (Zygmunt Nowicki), Ksztyk (Zbigniew Jabłoński) i Papczyk (Maciej Małek). Przedstawieni są oni przez reżysera na zasadzie typów bez charakterologicznego zróżnicowania.

Szkoda, że osobę Dziennikarza z „Krzyku Stolicy" (Jan Tesarz) wprowadzono do akcji jako twór odrębny i zjawiający się trochę na zasadzie deus ex machina.

Aktorzy, którym przypadło w udziale kreowanie postaci (O losie okrutny!), brną rozpaczliwie w gąszczu autorskich nieporadności, wahają się między konwencjami komedii i farsy, a nawet, pragnąc za wszelką cenę wywołać śmiech na widowni szukają ratunku w „klasycznych" grepsowych chwytach teatralnych. Bez rezultatu.

O ile tempo i rytm są w pierwszym akcie jakoś utrzymane, o tyle w dwóch pozostałych spektakl „rwie się" a tempo ograniczone zostaje do zbyt szybkiego i hałaśliwego, niemal do granic wytrzymałości widza, wypowiadania poszczególnych kwestii. Przy więl szej liczbie osób powstaje na scenie po prostu bałagan.

Trudno jednak w tym przypadku obwiniać aktorów, gdyż wydaje mi się, że nawet najlepszy zespół wykonawców niewiele mógłby wykrzesać z sytuacji i dialogów zawartych w omawianej komedii.

Z tej całej autorsko-reżysersko-aktorskiej „komedii omyłek" szczęśliwie wypadła scenografia. Mieczysław Wiśniewski zaproponował ciekawe rozwiązanie przestrzenne rozbijając płaszczyznę sceny na kilka wejść, pokój, taras, schody i perspektywę widzianej przez okno przestrzeni. Takie potraktowanie scenografii stwarza możliwość różnorodnych rozwiązań sytuacyjnych. Niestety, nie została ona zarówno przez aktorów jak i reżysera dostatecznie wykorzystana.

Teatr 7.15. „Stendhal i S-ka" — Krzysztof Choiński. Reżyseria — Wojciech Żukowski. Scenografia — Mieczysław Wiśniewski.

Książki nadesłane

Juliusz Kleiner — **„ZARYS DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ"**, Ossolineum, cena zł 55.—

Apolonia Załuska-Strömberg — **„SAGA O GUNNLANGU WĘŻOWYM JĘZYKU"**, Ossolineum, cena zł 15.—

Molier — **„ŚWIĘTOSZEK"**, Ossolineum, cena zł 10.—

Tadeusz Szaja — **„WYROBISKA PAMIĘCI"**, Ossolineum, cena zł 10.—

Janusz Bełczęcki — **„POSZUKIWANIE PRZYCZYNY"**, Ossolineum, cena zł 10.—

Aleksander Przybylski — **„ZAPOWIEDŹ PODRÓŻY"**, Ossolineum, cena zł 10.—

Lucjan Kiełkowski — **„TOPOGRAFIE SERDECZNE"**, Ossolineum, cena zł 10.—

Jerzy Kos — **„ZBLIŻENIA"**, Ossolineum, cena zł 10.—

TELE-OBIEKTYW

Gruza-Show

Lekka forma nie jest najsilniejszą stroną naszej telewizji. Uzasadnionej dominanty programów poważnych nie rekompensuje jakość pozycji rozrywkowych. Słowem dość rzadko możemy się przed telewizorem pośmiać. A przecież znaczenie śmiechu jako środka relaksowego, odtrutki na wszelkie napięcia psychiczne i nerwowe — jest ogromne.

Tej sztuki dokazać potrafi Jerzy Gruza, który ze swymi współpracownikami najbliższy jest stworzenia naszej rodzimej formuły na show telewizyjny. Świadczą o tym jego cykle programowe — dawniejsze „Poznajmy się" i aktualne. „Małżeństwo doskonałe". Ale tu wtrącić muszę od razu dwa wyjaśnienia.

WYJAŚNIENIE I. Może dla wielu telewidzów głównym bohaterem tych programów jest znakomity Jacek Fedorowicz. Istotnie, jako prowadzący program Fedorowicz wydaje się jego autorem. I jest niewątpliwie, ale tylko w części. Główny ciężar pomysłu i realizacji spoczywa na niewidzialnym na ogół Gruzie, który za stołem mikserskim dyryguje całą imprezą.

WYJAŚNIENIE II. Przeciwników makaronizmów razi zapewne użycie słowa „show". Zaleciliby oni użycie w to miejsce polskiego słowa „widowisko". Byłaby to jednak przesadna wiara w akuratność słownika angielsko-polskiego. Oczywiście „show" tłumaczy się dosłownie na „widowisko". Jednak za słowami „show telewizyjny" kryje się określona praktyka zagranicznych widowisk rozrywkowych produkowanych w telewizji. Jest to twór złożony, hybrydyczny, łączący elementy kabaretu, estrady, rewii, a wszystkie wpisane w atmosferę wspólnej zabawy przed kamerami. W tym właśnie znaczeniu cykle programowe Gruzy określić należy nazwą obcą w braku adekwatnego odpowiednika w naszym języku.

Oczyściwszy sobie teren z ewentualnych wątpliwości, przystąpmy do rozszyfrowania, w jaki to sposób udaje się „Gruzie and Co" tak dobrze bawić nas swymi programami. Tropienie źródeł sukcesu jest bowiem zajęciem pasjonującym. A z niewątpliwym sukcesem mamy tu do czynienia.

Zacząć by trzeba od zastanowienia się na czym polega mechanizm tak zwanej dobrej zabawy. Dobrej, to znaczy takiej, przy której śmiejemy się w głos, nie wstydzimy się naturalnych odruchów, zachowujemy się po trosze jak dzieci. Tak, tak! Jak dzieci. Bo to dziecko właśnie jest zawsze gotowe do żywiołowej, niczym niehamowanej zabawy.

Aby zbliżyć się psychicznie do takiej postawy dziecka, musimy przede wszystkim odprężyć się wewnętrznie, rozluźnić te wszystkie więzy, które sami sobie narzuciliśmy, a które krępują nasze reakcje. Bowiem prawdziwa zabawa zaczyna się tam, gdzie kończy wszelkie skrępowanie. Największą chyba przeszkodą jest ogólnie przyjęta postawa przesadnego liczenia się z opinią otoczenia. Przy każdym niemal kroku zastanawiamy się, co inni sobie o nas pomyślą. Ani się spostrzegamy, a już przywdziewamy maskę i gramy wobec otoczenia narzuconą sobie rolę, chcemy mu imponować, podobać się, a już jak diabel wody święconej — boimy się śmieszności.

Gruza, a wraz z nim Fedorowicz, Łazuka i inni współtwórcy „Małżeństwa doskonałego" zrozumieli prawdę, że ludzie są opancerzeni na co dzień strachem przed śmiesznością. I w ten pancerz godzą aktywne poczynania rzeczonego zespołu. Przebić skorupę konwenansów, wprowadzić przez ten wyłom bakcyla szczerej, niefrasobliwej wesołości — oto zadanie show firmowanego przez Gruzę.

Jak się tego dokazuje w praktyce? Realizatorzy rozpoczynają kurację przede wszystkim od siebie. Ileż to razy Jacek Fedorowicz świadomie ośmiesza samego siebie, a także reżysera i innych współtwórców widowiska! Nie oszczędzając siebie, nabywa jakby moralne prawo do ośmieszania innych.

W „Małżeństwie doskonałym" króluje nie pisana i nie wypowiedziana umowa: każdy pozwala z siebie robić „balona". Nikt nie czuje się dotkniętym, gdy na niego przyjdzie kolej. W te zasady gry dają się niepostrzeżenie wciągnąć wszyscy obecni na sali w czasie emisji programu. Dzięki temu realizatorzy mogą liczyć na to, że pomysłowość ich w tworzeniu zabawnych sytuacji wzbogacona będzie przez inwencję przypadkowych osób z sali angażowanych do zabawy.

No, a widzowie przy telewizorach? Ci oczywiście nie mogą wziąć czynnego udziału w zabawie. Nie mogą poddać się całopaleniu na tym rozrywkowym ofiarnym stosie. Ale czują się reprezentowani przez tę publiczność, którą oglądają na ekranie. Zdają sobie sprawę, że obok zawodowych aktorów, piosenkarzy, tancerek itp. czynnymi uczestnikami widowiska są amatorzy ludzie różnych zawodów, wieku i środowisk, których jednoczy wspólna chęć zabawy.

Skoro więc my przy telewizorach czujemy się reprezentowani w „Gruza — show", to prawie jakbyśmy sami brali czynny udział w widowisku. Świadomość tego zaraża nas wesołością panującą na sali, z której transmitowany jest program. Czujemy się zespoleni z atmosferą widowiska, a tym samym współtworzymy tę atmosferę. Jesteśmy jakby jednocześnie odbiorcami i nadawcami programu.

I w tym właśnie (nie zawsze nawet w poziomie dowcipów) tkwi moim zdaniem praprzyczyna sukcesu tego programu.

Władysław Orkowski

P.S. Pytanie retoryczne: Jak spowodować, żeby redaktor Jan Ciszewski z Katowic nie używał w sprawozdaniach sportowych zwrotu: „zawodnik X już ubrał buta"?

W.O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Czeski film „NOCNE SAM NA SAM" posiada na tyle frapujący tytuł, że chyba ściągnie do kina znaczną liczbę widzów. Tym, których tytuł nie zainteresuje można podsunąć inny przekonywający argument. Kto lubi W. Młynarskiego, kto razem z nim zastanawiał się „w co się bawić", niechże wybierze się na ten film, przypominający niby śmieszną, a jakże smutną piosenkę. „Nocne sam na sam" M. Hubáčka to też niby komedia, ale „komedia smutna", tak też film w Czechosłowacji reklamowano.

W sposób charakterystyczny dla wielu czeskich filmów ostatnich lat pokazano nam 24 godziny z życia jednego z tych, którzy właśnie zastanawiają się w co się bawić i jak żyć. Nie zapominajmy jednak że to komedia, zatem pytania te stawia się tak jak w piosence Młynarskiego.

Tragikomicznym bohaterem filmu Hubáčka jest architekt, człowiek uczciwy, pełen najlepszych intencji i życiowych zamiarów, człowiek jednak trochę niewydarzony, przeciętny życiowy pechowiec. Ten pech ma swą mocno podkreśloną w filmie przyczynę — trudno żyć w świecie, w którym międzyludzkie stosunki coraz silniej determinuje brak zwykłego, zdawałoby się, zaufania człowieka do człowieka. I w końcu nie sam bohater jest komiczny, komizm, smutny zresztą jak się rzekło, stwarzają okoliczności, w których nasz stale poszukujący bohater znaleźć się musi, bo taki jest świat który go otacza. To co bawi, to samo nie inscenizowane życie, jego realia i modele życiowe charakterystyczne dla ludzi, których się pokazuje.

Przywykliśmy już do tego, że Czesi są mistrzami podpatrywania rzeczywistości, analizowania szczegółów, z których składa się przeciętny ludzki żywot. Wydobywają przy tym przede wszystkim szczegół obyczajowy, jego rysunek odznacza się niedostępną do tej pory dla naszych twórców lekkością kreski i umiejętnością kompozycji. Żadnej w tym sztuczności, żadnej wykoncypowanej inscenizacji, ot, samo życie.

Scenariusz filmu napisano z myślą o konkretnym aktorze, w ten sposób niejako mu go zadedykowano. Miloš Kopecki zrewanżował się scenarzyście i reżyserowi w sposób doskonały. Ten niesłychanie popularny w Czechosłowacji aktor komediowy wcielił się w postać swego bohatera znakomicie. Jego Juži Donat jest postacią po ludzku mądrą, śmieszną, chwilami żałosną, chwilami nieomal tragiczną. Przyznać również należy, że mają piękne i inteligentne aktorki. Olga Schoberowa prezentuje wprawdzie głównie sex i urodę, ale Jana Hlavačova dodaje do tych walorów głęboką kulturę aktorską, która pomaga jej pogłębić rysunek psychologiczny bohaterki, którą wcale nie było łatwo zagrać.

Rumuński film „KTO MU OTWORZY DRZWI?", który reżyserował G. Naghi należy do tej grupy filmów, które określić by trzeba mianem społecznie potrzebnych. Podejmuje problem, który niestety zawsze, stanowić będzie jedno z centralnych zagadnień życia społecznego. Jest to sprawa tzw. młodzieży trudnej, zaniedbanej czy wykolejonej, a co za tym idzie problem przyczyn okoliczności i środków zaradczych.

Społeczne i dydaktyczne założenia tego filmu w swych podstawowych celach słuszne, nie znajdują jednak w filmie adekwatnych do rangi problemu środków prezentacji.

Historia inteligentnego, dobrego, wrażliwego chłopca, zaniedbanego przez zajętych swym własnym życiem rodziców, dzieje chłopca, którego panujące w domu atmosfera wyrzuca niejako na ulicę i zaprowadza do domu poprawczego, opowiedziana jest w sposób nader schematyczny. Sylwetki rodziców i ludzi, wśród których przyszło chłopcu przeżyć swą tragedię, cechuje niestety pewien prymitywizm rysunku. Dotyczy to zarówno rysunku psychologicznego jak i obyczajowego.

Na pewno najsilniejsze wrażenie wywiera sam młodziutki bohater filmu, chłopiec, który go gra przemawia jakąś głęboką prawdą swych wewnętrznych przeżyć.

Nie pomogło filmowi zastosowanie niby to nowoczesnego sposobu narracji. Przedstawione nam wydarzenia podaje się w scenach retrospektywnych, wmontowanych w film w sposób niezbyt kunsztowny, chwilami nawet irytujący. Happy end smutnych losów bohatera filmu „Kto mu otworzy drzwi?" budzi obawy, gdyż nieoczekiwanie wprowadzony nie pozwala w niego uwierzyć.

I tak to jeszcze raz schematyzm ujęcia przekreślił ważkość podjętego przez film problemu mającego duże społeczne zapotrzebowanie.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MOBILE CALDERA

● W wielu krajach rzeźbiarz Aleksander Calder jest artystą nie mniej sławnym niż wielki Picasso. Obecnie Calder wystawia w paryskiej galerii Maeght swoje ostatnie mobile.

Debiutował artystycznie w roku 1927 kiedy to wystawił swą przestrzenną kompozycję, zespół poruszających się elementów, swój słynny „Cyrk". Dzieło wzbudziło zachwyt m. in. takich twórców jak Cocteau i Miro. Nie wszystkim jednak podobają się ruchome rzeźby Caldera. Dali stwierdził, że od rzeźbiarza tego przynajmniej można się spodziewać, żeby jego rzeźba pozostawała w spokoju. Calder dał na to ciętą odpowiedź: „Dali rozpoczął swą karierę od malarstwa po ważnego, a teraz ze sztuki urządza cyrk. Ze mną stało się odwrotnie".

Rzeźbiarstwo ma Calder we krwi. Jego dziadek był rzeźbiarzem-amatorem, ojciec również zabawiał się rzeźbieniem tworząc wizerunki olbrzymich orłów, matka chwytała za pędzel. Aleksander Calder, z pochodzenia Amerykanin lecz od wielu lat mieszkający we Francji, ukończył studia inżynieryjne. W czasie wojny był w marynarce wojennej, po wojnie został marynarzem na statkach handlowych, a wreszcie pracował jako dziennikarz. Kiedyś robiąc dla dziennika reportaż z cyrku zwrócił uwagę na walory artystyczne poruszających się trapezów cyrkowych. Zafascynowało go to do tego stopnia, że stworzył ową słynną kompozycję „Cyrk" poruszaną przy pomocy motorków. Takie właśnie ruchome konstrukcje Caldera, poruszane bądź to motorkami bądź podmuchami wiatru czy nawet lekkim ruchem powietrza, Marcel Duchamp nazwał mobilami Arp zaś nieruchomym rzeźbom Caldera nadał nazwę stabilów.

Calder przed jednym ze swych stabilów.

Rzeźby Caldera trafiają aż do Indii i Japonii. Jego „Człowiek" dwudziestodwumetrowy stabil o wadze 70 ton zdobił wystawę w Montrealu. Na olimpiadę, która odbyła się niedawno w Meksyku, Calder stworzył rzeźbę jeszcze wyższą, bo o wysokości 24 metrów — trzy płyty z grubej blachy wspierające wierzenie słońca.

Jeden z mobilów Caldera (Z plakatu wystawy).

Obecna wystawa mobilów Caldera nie ma w sobie nic z masywności i gigantyczności. Mobile sprawiają wrażenie lekkości właściwej ruchom ptaka szybującego w powietrzu, poruszania się motyla czy innych owadów. A równocześnie wiele z tych mobilów, dzieł człowieka o sylwetce przypominającej polarnego niedźwiedzia i rękach kowala, to jakby świadome naśladowanie zabawek nie tyle może dla dzieci ile dla poetów obdarzonych świeżością wzruszeń i fantazją dziecka.

WIELKA NAGRODA KRYTYKI LITERACKIEJ

● Wielką Nagrodę Krytyki Literackiej, przyznawaną corocznie w Paryżu przez Związek Krytyków Literackich, otrzymała w tym roku Madelaine Fargeau za pracę o Balzacu („Balzac et la Recherche de l'absolu").

Autorka napisała ją jako pracę doktorską.

O GAUGUINIE INACZEJ

● W paryskim wydawnictwie Hachette ukazała się ostatnio bogato ilustrowana praca pióra Francoise Cachin o Gauguinie. Autorka zwalcza pewne schematy myślowe jakie utrwaliły się w pojęciu ogółu o genialnym malarzu.

Legenda o Gauguinie, jego życiu, przesłoniła — jak wywodzi autorka — rzeczywisty o nim sąd i o jego sztuce. Przyjęło się bowiem mniemanie, że Gauguin, bohater owej legendy, zbuntował się przeciw szarzyźnie swej parysiej egzystencji, zerwał ze wszystkim co go dotąd łączyło, aby w romantycznej wyprawie na dalekich egzotycznych wyspach, oczarowany dzikością, innością krajobrazu i środowiska stworzyć oryginalne, całkiem niepodobne do dotychczasowych dzieł, genialne obrazy. Malarstwo zatem Gauguina traktuje się niemal w całkowitym oderwaniu od tradycyjnych wpływów europejskiej sztuki, tak jakby malarz przybywszy na Tahiti zerwał z nabytym doświadczeniem i wśród „dzikich" zaczął tworzyć jak „dziki".

Francoise Cachin stara się znaleźć właściwe miejsce dla twórczości Gauguina w historii sztuki. Według niej artysta jest tym, który starannie studiował obrazy takich malarzy jak Delacroix, Degas, Puvis de Chavanne, Van Gogh, Pissaro i Cézanne. Zapewne Gauguin był człowiekiem pamiętającym żywo swe dzieciństwo spędzone w Peru i znużony wieloletnią pracą urzędnika giełdowego, zapragnął odbywać dalekie podróże do egzotycznych krajów. Ale Gauguin nigdy nie był malarzem „prymitywnym".

YANNIS RITSOS UWOLNIONY

● Wielki poeta grecki, Yannis Ritsos, więziony od dłuższego czasu przez faszystowski reżim grecki, został ostatnio uwolniony, ale jest bardzo ciężko chory. W bardzo złym stanie zdrowia Ritsos został deportowany z Aten, gdzie przebywał w szpitalu, na wyspę Leros. Na skutek licznych protestów na całym świecie, reżim grecki uwolnił wreszcie poetę, ale poddać on się musi poważnej operacji.

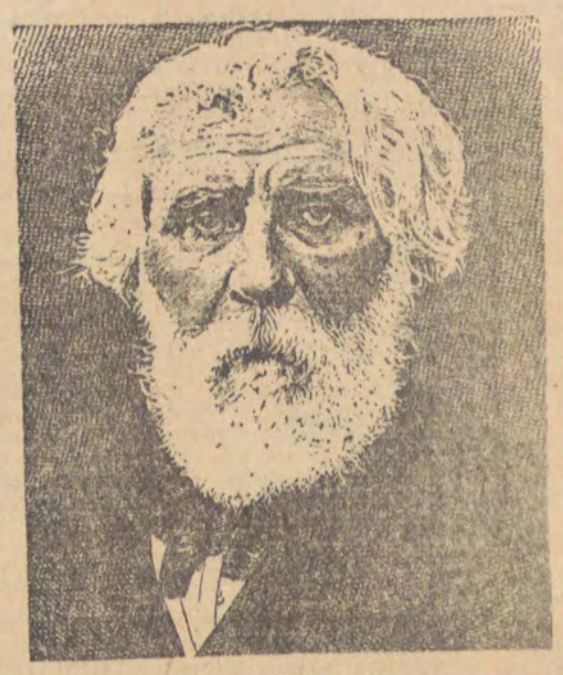

Iwan S. Turgieniew

W 150-LECIE URODZIN WIELKIEGO PISARZA

● W 150-lecie urodzin wielkiego rosyjskiego pisarza Iwana Siergiejewicza Turgieniewa odbywa się w ZSRR szereg uroczystości. I tak np. 12. XI. w moskiewskim Teatrze Wielkim odbyła się uroczysta sesja poświęcona życiu i twórczości pisarza. Na domu pod numerem 37 przy ulicy Mietrostrojewskiej w Moskwie odsłonięto uroczyście tablicę z następującym napisem: „W tym domu w latach 1840—1850 żył Iwan Siergiejewicz Turgieniew. Dom i zdarzenia jakie tu miały miejsce opisane zostały w powieści „Mumu".

Dzienniki i pisma periodyczne drukują wiele materiałów dotyczących życia i twórczości pisarza. I tak w „Litieraturnoj Gazietie" znajdujemy m. in. interesujący cykl artykułów pt. „O nieznanych rękopisach Turgieniewa".

Spektakle tygodnia

TEATRY

	Ilość spektakli	Liczba widzów	Stosunek procent.
WIELKI			
„Kniaź Igor",	1	1276	100
„Straszny dwór",	1	1276	100
„Zemsta nietoperza",	2	2552	100
„Pan Twardowski",	1	1276	100
„Cosi Fan Tutte",	1	1276	100
NOWY			
„Żeglarz",	3	2100	100
„Śluby panieńskie",	1	600	90
„Damy i huzary",	1	700	100
„Pierścień wielkiej damy",	2	1000	75
NOWY Mała Sala			
„Gra miłości i przypadku",	5	900	95
POWSZECHNY			
„Kawior i kaszanka",	5	3300	100
„Radziwiłł, panie Kochanku",	1	600	90
JARACZA			
„Przedwiośnie"	4	2340	93
w lokalu ROZMAITOŚCI			
„Każdy kocha Opalę",	2	1260	100
7.15			
„Stendhal i S-ka",	5	2110	100
TZL			
„Okoliczność łagodząca",	6	1355	78
„Kaprysy Marianny",	6	1161	69
OPERETKA			
„Dziękuję Ci Ewo",	5	4959	90
FILHARMONIA			
2 koncerty symfoniczne		900 słuch.	65
1 poranek muzyczny		755 słuch.	100

Bez strachu

METAFORA JEDNEGO DNIA

Każde drobne, powszednie zdarzenie, każdy okruch życia mogę potraktować dosłownie bądź przenośnie. Oto jadę autobusem, w autobusie są ludzie starzy, młodzi, małe dzieci, znalazło się tam miejsce i dla jednego pieska, który piszczy przerażony podróżą. Autobus chwieje się w czasie jazdy. Ta drobna jazda przypomina ruch, któremu podlega społeczeństwo, w którym żyję w czasie jego olbrzymiej drogi. Autobus chwieje się w czasie jazdy i oto znowu znajduje najwłaściwszą dla jego drogi przypisaną część szosy. Ludzie w autobusie reagują spokojnie — bądź zdradzają brak równowagi — ktoś chwieje się w sposób nieproporcjonalnie gwałtowny do siły wstrząsu — piesek piszczy. To nawyk budowania przenośni z cichej i szarej substancji każdego dnia — maniera zawodowa człowieka piszącego książki, nic ostatecznie ważnego ani istotnego.

A jednak, długie listopadowe wieczory, każą wspominać wydarzenia każdego dnia jako budulec stosowny do wzniesienia metafory — metafory jednego dnia. Sprawa z autobusem była naiwnym pretekstem do zbudowania metafory społeczeństwa, pretekstem zbyt niskim — nie mogę odkrywczej metafory społeczeństwa ustawić na kołach autobusu — innego dzisiaj trzeba by na to pojazdu niż stary, poczciwy autobus. (A jednak tuż przed każdym snem myślę czy właśnie tego dnia przeżyłem sprawę, którą udźwignie ten ciężar — zasypiam mówiąc to było mało — to wszystko za mało i to wszystko za małe!

Nawyk przenośnego przeżywania dnia męczy mnie tak, że szukam ludzi „zwykłych", „prostych", „szarych" ludzi żyjących tylko dosłownym życiem po to, aby od nich nauczyć się stosunku do zdarzeń dnia, stosunku bezpośredniego. Otóż ludzi takich nie znajduję — może ich już nie ma, może nigdy nie istnieli i ktoś ich kiedyś wymyślił dla swojej zabawy i naszego błędu. Upokorzony i pocieszony zarazem wracam do domu od ludzi — są oni wszyscy, z którymi rozmawiałem — bardziej złożeni niż ja — widzą w tkance każdego dnia prawdy bardziej złożone niż ta, którą ja potrafię zobaczyć, aż po próg nocy. Jest już wieczór — wracam z bliskiej podróży autobusem, autobus nadskoczył na niewidzialnym kamieniu. Piesek zapiszczał, ktoś zachwiał się na nogach. Dziesięć rąk wyciągnęło się, by pogłaskać pieska, dziesięć rąk wyciągnęło się, by podtrzymać tego, który zachwiał się na nogach.

BERNARD SZTAJNERT

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Rzadko się zdarza, aby kobieta w tak zdecydowany sposób zadbała o efektowny wygląd innych kobiet. A jednak, to widać po witrynie Kiermaszu Plastyków przy ul. Piotrkowskiej. Pani Barbara Munzer wystawiła tam swoją niezwykłą kolekcję biżuterii. Oczywiście nie ma diademów z pereł i brylantowych kolii — jest za to twórcza inwencja plastyka, jest pomysł, smak i oryginalność. Słowem jest w tej efektownej biżuterii z miedzianej i srebrnej blachy — szyk i elegancja, ale także owo piękno, które wydobyć może ze zwykłego tworzywa tylko prawdziwy artysta. Łódzcy plastycy uprawiają z mniejszym lub większym powodzeniem „galanteryjną twórczość". Niektórzy z nich — niestety — traktują ją jak pospolitą „chałturę". Barbara Munzer tworzy natomiast miniaturowe dzieła sztuki zdobniczej — tym cenniejsze, że zdobić będą one piękniejszą połowę ludzkiego rodu.

WTOREK

„Jesteśmy tacy jacy jesteśmy" — głosiła bardzo odkrywczo, modna swego czasu piosenka. Z prawdziwą ciekawością zagłębiłem się w pewnym dokumencie, który właśnie mówił jacy jesteśmy kulturalni. A więc na 750 tysięcy łodzian — 215 tysięcy uczy się. Statystyczny łodzianin chodzi prawie 3 razy w roku do teatru lub na koncert... Sprawy to może znane, ale niewątpliwie świadczące, że określenie Łodzi jako prowincji kulturalnej dawno już należy do przeszłości. I myślę, że warto sobie to od czasu do czasu uświadomić. Ale określenie „kulturalny" ma jeszcze inne, potoczne znaczenie. Jechałem tramwajem linii „25" ze Stoków. Studenci zgodnie obsiedli ławki. Kiedy do wagonu weszła para starszych ludzi, momentalnie głowy studenterii zagłębiły się w gazety i skrypty. „Popatrz — powiedziała do męża starsza kobieta — dawniej nie było aż tylu kulturalnych młodych ludzi".

ŚRODA

Dzień w którym w całym kraju rozpoczynają się Dni Książki Społeczno-Politycznej, obchodzone pod spopularyzowanym już hasłem „Człowiek—Świat—Polityka". Podoba mi się to hasło. Żyjemy w świecie, którego trasy wytyczają polityczne busole i aby ten świat rozumieć trzeba rozumieć polityczne idee i doktryny. Mało, trzeba jedną z tych idei — najlepszą, najsłuszniejszą — akceptować w pełni i świadomie, aby zasłużyć na miano współczesnego człowieka rozumiejącego współczesny świat. Temu służą rozpoczęte dziś Dni, kluby czytelnicze, setki cennych publikacji wyjaśniających nam różne aspekty rzeczywistości. Choćby „44" Zb. Załuskiego, o której to pozycji mówił na V Zjeździe Władysław Gomułka, choćby seria pasjonujących książek Tadeusza Walichnowskiego. Czyż mogę wymieniać tytuły, jeśli lista nowości literatury społeczno-politycznej liczy ponad 600 pozycji? Jest więc naprawdę w czym wybierać!

CZWARTEK

Pewna nauczycielka spostrzegła kiedyś ze zdziwieniem, że uczniowie, którzy zbierają znaczki, wykazują najbardziej wszechstronną orientację we wszystkich dziedzinach wiedzy. Oczywiście — nie ma bowiem ważnej sprawy czy wydarzenia, które by nie znalazły odbicia w filatelistyce. Kosmos, historia, malarstwo, rocznice wszelkiego rodzaju, kultura... Kompletując zbiór poszerzamy horyzonty, poznajemy lepiej świat, uczymy się. Zbliżają się obchody 75-lecia łódzkiej filatelistyki i myślę, że dobrze iż w programie znalazło się sympozjum na temat filatelistyki jako dziedziny wiedzy. Wiedzy o wszystkim czego owe zadrukowane skrawki papieru dotyczą. Wydaje mi się również, że propaganda filatelistyki wśród młodzieży winna eksponować właśnie poznawcze i kształcące walory tego pięknego i starego hobby. Znaczka „za łut" (cena katalogowa 16 tys. zł) z 1860 roku nikt dziś przypadkiem nie zdobędzie — natomiast za sto parę złotych rocznego abonamentu można zdobyć barwny diariusz spraw i wydarzeń roku.

PIĄTEK

Czytelnicy łódzkich gazet, „Szpilek" czy „Karuzeli" znają ten zamaszysty podpis: SKONY. Kryje się za nim Józef Skoniecny, łódzki grafik i satyryk, który swym piórkiem penetruje rejony naszej obyczajowości, a także wielkiej polityki. „Piórkiem po polityce" — tak nazywa się cykl jego rysunków, publikowany w „Głosie Robotniczym" w każdą sobotę, a od kilku dni eksponowany w KMPiK. Nie jest to wystawa „do śmiechu" — zbyt wiele tu spraw ponurych i postaci groźnych. Jednooki Dajan i drapieżny Johnson, dyskryminowani Murzyni w USA i tragedia arabskich uchodźców. To nie nastraja do żartów, ale każe myśleć. Jest to więc satyra polityczna, walcząca. Warto obejrzeć te rysowane komentarze polityczne Skoniecznego, warto obejrzeć ten świat narysowany piórkiem wrażliwego na współczesność artysty.

SOBOTA

W dniu ich święta pamiętają o nich dzieci — przyniosą wiązanki kwiatów i gorące słowa wdzięczności, laurki rysowane nieudolną dziecięcą dłonią... „Dla naszej Pani, dla naszego Pana". Skromna, ale najcenniejsza rekompensata za trud i serce, za wiedzę. Ale oprócz tych nauczycieli, na których ręce składamy kwiaty — są jeszcze cienie tych, którzy odeszli. I to odeszli najtragiczniej, w czas pogardy, w latach 1939—45... Jak tym nauczycielom złożyć wiązankę gorejących róż? Dziś właśnie odsłonięto marmurową tablicę na gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Na czarnym marmurze słowa: „Pamięci nauczycieli łódzkich poległych w obronie ojczyzny oraz pomordowanych przez hitlerowskiego okupanta w latach 1939—1945 — społeczeństwo Łodzi". Pamiętając o tych, którzy są — złożmy wiązankę kwiatów pod czarną tablicą, poświęconą tym, którzy odeszli.

NIEDZIELA

Wciąż pełen energii, inicjatyw i naukowej pasji, przemierzający Polskę i świat w poszukiwaniu cennych eksponatów dla szarego muzealnego gmachu przy Placu Wolności, Profesor Konrad Jażdżewski, wybitny archeolog, badający wczesnośredniowieczne osadnictwo i cmentarzyska kurhanowe z epoki brązu, autor 240 prac naukowych od „Kultury pucharów lejkowych" wydanych w 1936 roku po „Atlas do pradziejów Słowian" wydany już po wojnie. Czterdzieści lat naukowych penetracji polskiej ziemi, kryjącej skarby i dokumenty narodowej przeszłości. Czterdzieści lat badań i wiele pokoleń młodych archeologów wychowanych przez Profesora. Więc dziś ta sesja naukowa poświęcona Jego dorobkowi i ten uroczysty jubileusz — choć w części oddają hołd naukowcowi, który przez czterdzieści lat tropił ślady Słowiańszczyzny i uczył nas przeszłości.

JERZY WIDOK

Morderstwo co 43 minuty

Gwałt, przemoc — to przejawy dnia codziennego amerykańskiej rzeczywistości. W świetle wydarzeń ostatnich lat stały się one najpoważniejszym wewnętrznym problemem Stanów Zjednoczonych. Wszystkie dane FBI wskazują, że gwałt i przemoc atakują kraj, podobnie jak szybko postępująca choroba zakaźna. *)

Z 3.750 tysięcy poważnych przestępstw, zarejestrowanych przez sądy w 1967 roku, 484.900 dokonano z zastosowaniem przemocy: zabójstwa, gwałtu, grabieży i ciężkich uszkodzeń ciała. Wymieniona liczba znacznie przekracza 421 tysięcy podobnych przestępstw, dokonanych w 1966 roku.

Wskaźnik przestępstw z użyciem przemocy osiągnął w roku 1967 liczbę 250 ofiar na 100 tysięcy mieszkańców USA. Przewyższa to dwukrotnie poziom 1940 roku, jest wyższy o 88 procent od wskaźnika 1950 roku oraz przewyższa o 57 procent wskaźnik z roku 1960. W pierwszym półroczu 1968 roku przestępczość w USA wzrosła w porównaniu z pierwszym półroczem 1967 roku o 21 procent. W tej proporcji wzrosła w ciągu sześciu miesięcy 1968 roku ilość przestępstw z zastosowaniem gwałtu, przy czym napady z bronią w ręku wzrosły do 34 procent.

Epidemia przestępstw i gwałtów dotknęła niemal wszystkie dziedziny amerykańskiego życia publicznego. Zastraszająca ilość bandytów, gwałcicieli i chuliganów terroryzuje ulice amerykańskich miast. Lęk przed znalezieniem się na ulicy nocą jest jedną z charakterystycznych osobliwości życia w amerykańskich miastach.

Broni palnej używa się coraz częściej w porachunkach osobistych. Z 12 tys. zabójstw, zarejestrowanych w USA w roku 1967, 7600 popełniono z broni palnej. Użyto jej także w 73 tysiącach napadów z bronią w ręku, i w 52 tysiącach napadów, które pociągnęły za sobą ofiary w ludziach. Liczba zabójstw, dokonanych z pomocą broni palnej jest dziś o 47 procent większa, niż w roku 1964. Na przestrzeni tego czasu, tj. od 1964 do 1968 roku liczba grabieży przy użyciu broni palnej wzrosła do 58 procent. Ogólna liczba napadów z bronią w ręku — udanych czy nieudanych — wzrosła na przestrzeni wspomnianych 4 lat do 76 procent. Wynika z tej liczby, że w USA nieomal zawsze napada się z rewolwerem w ręku. „Chronometr przestępstw", dokonany według statystycznego systemu FBI odnośnie przestępczości w Stanach Zjednoczonych podaje następujące liczby częstotliwości różnego rodzaju przestępstw w USA w r. 1967:

- Ciężkie przestępstwa — 7 na minutę.
- przestępstwa z użyciem siły — co minutę.
- zabójstwo — co 43 minuty.
- ciężkie okaleczenie ciała w wyniku napadów — co 2 minuty
- gwałty — co 19 minut
- napad z grabieżą — co 2 i pół minuty
- kradzież z włamaniem — co 20 sekund
- kradzież samochodu — co 48 sekund.

Szczególnie tragicznym zjawiskiem jest stały wzrost przestępczości wśród amerykańskiej młodzieży. Niewspółmiernie wielką część przestępstw popełnia młodzież poniżej lat 18. Spośród tej właśnie grupy pochodziło w 1967 roku 49 procent przestępców, aresztowanych za ciężkie wykroczenia kryminalne. Ilość aresztów wśród osób z tej grupy społecznej wzrosła do 69 procent na przestrzeni ostatnich siedmiu lat. Osiemnastolatki dokonały również 62 procent kradzieży samochodów.

KRYMINALNE PODZIEMIE

Obecnie, szczególnie wiele przestępstw dokonuje w USA miejska młodzież. Złowieszcze szajki wyrostków terroryzują peryferie wielkich miast, skąd zresztą pochodzą i dokonują napadów z bronią w ręku, kończących się nieraz zabójstwem albo ciężkim okaleczeniem ofiar napadu. Te pierwsze przestępstwa często przesądzają o dalszej kryminalnej przyszłości młodzieży.

Gwałty są nie tylko składową częścią przemyślanych operacji świata przestępczego, któremu przewodzi kryminalny syndykat pod nazwą „Cosa Nostra". Są one oszczędnie stosowane w celach taktycznych dla zabezpieczenia panowania grupy herszów nad pozostałymi członkami organizacji.

Akcja FBI, dotycząca stałej obserwacji przestępców, zapoczątkowana w roku 1963 wskazuje, iż spośród 18 tysięcy przestępców zwolnionych z więzień w 1963 roku, 60 procent zostało aresztowanych powtórnie po upływie czterech lat za nowe przestępstwa. W tym ponad połowę aresztowano w innych miastach kraju.

Następstwa przestępczości w świetle ogromnych strat pieniężnych i nieustannych procesów sądowych, dotyczą praktycznie rzecz biorąc każdego Amerykanina. Zarejestrowane sprawy sięgają przerażającej liczby 27 miliardów dolarów rocznie.

Przestępstw i gwałtów kwitnących w Stanach Zjednoczonych nie można sobie wyjaśniać jakąś jedną przyczyną. Jest ich bardzo dużo i wszystkie są ściśle powiązane, ponieważ ich korzenie wyrastają z warunków codziennego życia w Stanach Zjednoczonych.

KORZENIE PRZESTĘPCZOŚCI

Istnieją zasadnicze, socjalne i ekonomiczne problemy — nędza, różnice w warunkach pracy i wykształceniu, trudne warunki życiowe i dyskryminacja, które pchają do naruszenia obowiązujących norm prawnych. Poczucie osobistej odpowiedzialności odeszło na dalszy plan. Wśród części obywateli USA odczuwa się brak poszanowania przepisów prawa. Przemilcza się na przykład przestępstwa. Świadkowie uchylają się od składania zeznań. Przynajmniej 37 osób widziało jak na jednej z ulic Nowego Jorku jakiś łobuz katował młodą kobietę, ale nikt nie przyszedł jej z pomocą. To prawda, że wszyscy oni zatelefonowali po policję, ale ofiara bandyty była już wtedy na pół martwa.

W USA miliony ludzi mają nie rejestrowane rewolwery i karabiny. Łatwość, z jaką można zaopatrzyć się w broń palną, odgrywa ogromną rolę w permanentnym wzroście przestępczości. Zarówno uczciwy człowiek, jak i indywiduum

o skłonnościach przestępczych, mogą kupić sobie broń palną w sklepie, a nawet zamówić listownie loco dom. Drugim źródłem zaopatrzenia w broń, z którego pełnymi garściami czerpie świat przestępczy, są kradzieże w sklepach z bronią, w sklepach ze sprzętem sportowym, w przedsiębiorstwach państwowych i domach prywatnych. Takie kradzieże rosną z dnia na dzień. Według danych na 1 stycznia 1968 roku, około 171.856 rewolwerów i karabinów zgłoszono do biur informacyjnych, jako skradzione lub zgubione.

Rodzaje rozrywek i środki masowego przekazu wywarły ogromny wpływ na narodowe gusty Amerykanów a nawet na amerykańskie obyczaje i ów słynny „styl życia". Telewizor, który wtargnął nie tylko do salonów, ale również do dziecięcych pokojów, wywiera coraz większy wpływ na amerykańską młodzież. Mimo, iż kompanie telewizyjne kontrolują swe programy, nasilenie gwałtu w programach telewizyjnych osiągnęło niewiarygodne szczyty. Telewidza zalewa potop programów przesyconych seksem, sadyzmem i przestępczością, co przy systematycznym ich powtarzaniu, może być zrozumiane i przyjęte jako obowiązujące normy obyczajowe w USA.

(W. St.)

*) Według „US News and World Report"

Lewym okiem

SYLWETKI

Jest taki wiersz Kästnera, przetłumaczony świetnie przez Tuwima, — „Piff-paff". Wykonywany nieraz na naszych powojennych estradach, czynił na mnie za każdym razem wstrząsające wrażenie. Nie znacie? O takiej strzelnicy w Luna-Parku, gdzie celuje się do śmiesznych ludzkich figurek. — „Oto tancerka. Gdy tancerce trafić nabojem prosto w serce, ona nóżkami wdzięcznie fika, przy czym wesoła gra muzyka..." ....Trafisz dobosza w centrum tarczy, a zaraz bęben mu zawarczy..." ....Trafisz anioła między oczy, a para skrzydeł mu wyskoczy..." Aż wreszcie ta ostatnia strofka na przyćmionych światłach. „Uwaga! Spoza automatów widmo wynurza się z zaświatów. Pierś malowniczo poszarpana, wspaniały cel — ta wielka rana. Ten pan odziany w krwawą rdzę był za automat pod Verdun. Obywatelu! Strzel i trafl!"

Nie mogłem wręcz uwierzyć, że jedną z konkurencji olimpijskich jest tak zwane strzelanie sylwetkowe. Potworność! Ja to już gdzieś widziałem, to strzelanie do sylwetek. Do stojących pod ścianą i do biegnących przez pole. A oto młodzi ludzie, ubrani z ogromnym wyrafinowaniem w specjalne dżemperki, trenerki, trampki i jak to się jeszcze nazywa, przysłani przez wszystkie kraje świata do słonecznego, uśmiechniętego Meksyku, stają po kolei na stanowisku i przymykając artystycznie oko mierzą... Wszystkie nerwy, całe ciało i mózg, wyobraźnia, marzenie i wola kulminują w tej zachłannej żądzy: w serce! Trafienie w serce to dziesięć punktów. Za punkty dostaje się medal, staje się na podium zwycięzcy, telewizje przekazują to natychmiast setkom milionów oczu na całym świecie... Potworność! Może jeszcze wymyślić zawody w celności rzucania bomb — dziesięć punktów za trafienie w samo centrum miasta? Albo w szkołę? Oczywiście bomba nieszkodliwa, sportowa, a miasto z dykty lub tektury. Obywatelu! Zrzuć i traf! Może strzelanie z gustownych armatek — kto dalej?

Wielkie święto narodów — bo i tak nazywa się czasem Igrzyska Olimpijskie — skończyło się, sylwetki trafione, najsprawniejsi zawodnicy otrzymali medale i chodzą w blasku zasłużonej, pełnej wdzięku sławy. Już się oblicza zyski i koszty następnej olimpiady, rozkręca się nowy mechanizm potężnego interesu, większego może niż Wystawa Światowa. Biegają ambitni chłopcy i dziewczęta po bieżniach Senegalu i Alaski, Filipin i Paragwaju, szykując się na wielki sukces w Monachium. W tym samym czasie pędzą przez eter depesze pełne misternych kombinacji: które państwo jest państwem, które nie jest? Kto ma wziąć udział, kto nie? Czy zamieszki w kraju N dyskwalifikują ten kraj jako partnera w skokach o tyczce, czy odczekać — może z kraju N powstaną dwa kraje? Odczekać, aż ustanie strzelanie do ruchomych sylwetek ludzkich?

Czekanie jest czasem bardzo trudne. Zechcielście wybaczyć niewesoły temat — ale słyszę właśnie o pewnym wypadku z tego odcinka życia, o którym nie chcemy za dużo wiedzieć. Ktoś zmarł — tu, w naszym mieście. Najbliżsi ustalają terminy pogrzebu, ogłaszają je w prasie, wysyłają listy do rodziny, rozklejają nekrologi. Spłakani krewni zjeżdżają z daleka z wieńcami i okazuje się, że od dwóch dni jest już po pogrzebie. Przedsiębiorstwo zawiadomiło, że ma ponadplanowy napływ zgłoszeń i że jego moc przerobowa nie nadąża za zamówieniami, wobec czego musi przyspieszyć swą działalność, streścić ceremoniał, uruchomić drugą zmianę, przemeblować cały harmonogram. Klepsydry, wezwania — trudno, siła wyższa. Nie można czekać...

Potworność. Nie mam pojęcia jak się buduje plan odnośnego zakładu, czy uwzględnia się w nim wahania sezonowe, godziny czy tygodnie szczytu, wąskie gardła i normatywy zapasu. Branża jest w dużym procencie skazana na los, a nowocześniej: na grę przypadku. Niechże by więc były te nie wykorzystywane rezerwy, i to duże. Wiadomy samochód nie musi chyba wykazywać pełnego wykorzystania ładowności, przebiegu itp. Niech stoi i czeka. Niech rodzina dotknięta nieszczęściem — tu nie umiem być rzeczowy i „nowoczesny", śmierć człowieka jest dla jego bliskich zawsze nieszczęściem, krzywdą, tragedią — niech ta rodzina ma zabezpieczone prawo do ludzkiego, człowieczego, serdecznego pożegnania, niech to się dzieje dostojnie, ładnie, poważnie — a nie z telefonicznym ponaglaniem w pośpiechu, byle jak, bo — ...nie można czekać".

ĆWIEK.

Redaguje zespół: Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Zam. 3061 XI. P-5